

JOHANNES BOBROWSKI

LITEWSKIE  
KLAWIKORDY

*Litauische claviere*

tłumaczenie: Anna Linke



## ROZDZIAŁ I

**D**ługi, cienki, strzeliście wyprostowany, szczudłowate nogi, krok jednak nader krótki, przy tym zastanawiająco wymachuje ramieniem, lewym, dla odprężenia to machanie, a znów kapelusz w prawicy, twarz długa, aczkolwiek nikt nie mógłby powiedzieć, co ma wyrażać, roztargnienie, obojętność: Gawehn wychodzi na ulicę z otwartego bocznego portalu. Jasne przedpołudnie. Za nim we drzwiach staje inspicjent Szwillus, by w ślad za odchodzącą długą postacią koncertmistrza rzucić swe zwykłe spostrzeżenia: Ten nic nie widzi, nie słyszy, smyczek w garść, nuty przed nos – i świat się dokoła skończył, artysta, jak po próbie, tak do domu.

Gawehn, koncertmistrz – czy jak go dotychczas nazywają, pierwszy skrzypek, jako dawną głowę kwartetu smyczkowego, cieszącego się zresztą wówczas dobrą opinią – doszedł już do przecznicy. Nazywa się Bulwar Filozofów i prowadzi obok fabryki celulozy. Lepiej by było znów skręcić, robi się głośno, oto wrota fabryki, jak już dziś było głośno w Teatrze Miejskim. „*Kowal z Marienburga*”, opera, smyczkuje się swoją partię.

Profesor Voigt zapomniał zeszyty w sali konferencyjnej. Zauważa to, bo zmiarkował: jakoś za lekko. Nie przestraszył się, ulga, lżej człowiekowi, i teraz wiadomo już, dlaczego, więc z tą ulgą dalej, i z tyloma kartkami po kieszeniach, szczęściem, bo na nich jest wszystko, czego właśnie człowiekowi potrzeba, a niemało tego, notatki etymologiczne, listy nazwisk, powypisywane cytaty. Nosi się ubranie niczym szafę: zmienić je to pewnego rodzaju inwentaryzacja: przeglądanie wszystkich szpargałów,

ewentualnie ponowne układanie: wybrane kłaść osobno celem odpisu, o, coś w tym rodzaju. Tak, to ulga: te pełne kieszenie niosą człowieka.

Pan Gawehn, rzecze Voigt. Dawno już zauważył pana pierwszego skrzypka i steruje ku niemu skrzydlatymi krokami.

Pan Voigt, powiada Gawehn, podchwytuje wytworny ton uczonego, któremu rangi i tytuły muszą się zdawać żenujące, ma się rozumieć. Czym mogę służyć?

Opera, mówi Voigt i ma w ręku długą białą kartkę, dwa razy doklejoną, jak łatwo dostrzec. Ale takie delikatne pismo, ledwie je widać na tej bieli.

A więc, opera, podejmuje Gawehn z przechyloną głową, jakby słyszał jakieś głosy.

Tedy razem przed siebie ulicą. Ulica szeroka. A na niej rozsiadł się targ garncarski, dziś, przy sobocie. Więc garnki, kamionkowe gary, dzbanki, wazy, doniczki, miski, misy, zielono lub brązowo polewane, lecz kruche, oczywiście, inaczej z nimi trzeba niż z końmi czy z kartoflami, zatem spokojny targ, ruchy odmierzone, bo ostrożne, a przez to i krzyku mało, spokojniejsza mowa, wymiana słów spokojnie prowadzona.

Ludzie zaś w każdym razie, dziewczęta i żony garncarzy, warci uwagi. Nawet i mężczyźni. Nie handlarze; więcej rzemieślnicy, co sami swój towar odbiorcy dostarczają, mowa nieco ubarwiona terminologią fachową, z leciutkim przy tym uśmiechem, jak malarze prezentują swoje obrazy, kiedy zbieracz nie tyle te obrazy widzi, ile powierzchnię ściany w domu, którą ma jeszcze wolną. Czyli że ten tu towar jest dla kobiet: garnki na ogórki, na marmoladę, na smalec, przeważnie. Za cenę, o której da się pogadać, wedle własnego czy cudzego doświadczenia; chustka nasunięta na czoło – u żon garncarzy, kapelusz nasunięty na czoło – u kupujących, przeciw jaskrawości światła, bo ma się ku południowi.

A owo światło czepia się ścianek garnków, na jakiejś wazie z zieloną pęcherzykowaną polewą, na niebieskim dzbanku w grochy. Także na

domach, na żółtawo spłowiałych fasadach, na równo powcinanych oknach, które wyglądają jak puste. Światło przedpołudnia, światło jedenastej godziny, prusząca żółtość, jeszcze bez popołudniowego znużenia, ale sobotnie.

Panie Gawehn, mówi profesor Voigt, nie mogę się od tego uwolnić!

Bardzo wierzę, odpowiada pierwszy skrzypek Gawehn. A ten arkusz, bo Voigt porusza właśnie swoją kartą, tym długim, dwukrotnie sztukowanym papierem – ten arkusz zawiera pański tekst? Ostatnie słowa brzmią jednak lekkim powątpiewaniem.

Ależ nie! Profesor Voigt kiwa przecząco wolną lewą ręką, a także kartką. To pomysł, akt pierwszy aż do trzeciego, całkiem dyletancki, jak może pan sobie wyobrazić, co najwyżej może trochę szkolony na doświadczeniu artystycznym mego czcigodnego kolegi Storosta, ale...

Ale co dalej, doprawdy?

Wszyscy jesteśmy i będziemy laikami, powiada łagodnie Gawehn.

I może jednak odrobinę za łagodnie, bo Voigt odrzekł: No, no... Ale wygląda swoją kartkę i kładąc na lewym przedramieniu coś na niej kreśli.

Przed wszystkim tytuł, referuje Voigt, może w ogóle całkiem po prostu: Piewca swego ludu.

A więc baryton, wtrąca Gawehn. Voigt myślał wprawdzie o tenorze, ze względu na młodzieńczy wiek bohatera, który trzeba przecie pokazać, ale dojrzały mężczyzna potem – to przekonywające. Mniej więcej czternaście osób, chór, naturalnie, jedność akcji niemożliwa, poucza o tym rzut oka na biografię: Lasdinehlen, więc wieś, Królewiec, więc miasto, Stołupiany, więc miasteczko, Tolmingehmen, więc wieś.

Naturalnie, mówiło się o tym już dawniej, kiedy niekiedy. Gawehn dłubał już przy czymś w rodzaju uwertury, opracowywał związki z pieśniami ludowymi, popularne melodie, oparte na tercji lub górnej dominancie, trzysylabowy wstęp, zmiana taktu i zmiana tonacji; ma już

jedną arię gotową, opartą na wyjątku z listu: Ach, gdybym jeszcze mógł robić barometry! Piękna skarga starości, że ręce się trzęsą, że stały się drżące w zawziętej biurkowej czy ambonowej wojnie z urzędnikiem Ruhigiem o nadzór urzędu królewskiego nad gruntami kościelnymi. A teraz wpadł mu do głowy głodowy duet dwu studentów o wikcie bezpłatnym i dachu nad głową w fundacji, w izbie C, pomysł go napadł po prostu, tutaj, w słońcu, na ulicy, właśnie w miejscu, gdzie się targ garnków skończył, a zaczyna się targ nabiałowy, trochę już wyprzedany o tej porze, ale jeszcze hałaśliwy i obdzielony niezgorzej tutejszym szeroko rozślawnionym serem, no i nam wpada też do głowy:

O cóż tu idzie właściwie?

O pewną operę, oczywiście.

Bardzo mi się to dziwnie układało, oznajmia Voigt. I teraz moglibyśmy niewątpliwie posłuchać, ale słuchanie zatrzymuje nas, więc pokrótce powiemy, że idzie o Chrystiana Donalitiusa w tej operze, o litewskiego poetę, a zatem lepiej: o Kristijonasa Duonelaitisa, proboszcza w Tolmingkehmen sprzed dwustu lat, mechanika, szlifierza soczewek, konstruktora termometrów i barometrów, budowniczego trzech klawikordów (jeden klawesyn, dwa fortepiany), który pisywał idylle litewskim heksametrem przed Klopstockiem, lecz według tej samej zasady: akcentowanie jednakich zgłosek i tak dalej, ale przecież inaczej, mianowicie o ludziach, chłopach małopolskich i dziewczkach, i o wiejskich robotach, idylle bez pasterzy i pasterek, z miłości, jużśmy powiedzieli, do kogo. I mogłoby się zapragnąć znów je przeczytać. Później, bo właśnie powiada Voigt: Pozwoli mi pan coś zaproponować, panie Gawehn? Może proponować ten profesor, to, o czym zaraz powie: jest starym kawalerem, zatem wedle utartych pojęć człowiekiem wolnym, może więc skierować swą propozycję do tego koncertmistrza, bo Gawehn jest wdowcem od lat i sam sobie gotuje, tylko praczka przychodzi, natomiast Voigt pozwolił

sobie na gospodynię, która nie mieszka w jego domu.

Zjemy u mnie, jeżeli pan się zgadza. Oto więc propozycja, a dalej tak: o drugiej kolejka, wspomniałem panu już kiedyś o nauczycielu szkolnym Poczce. Pojedziemy do niego.

Krótki sprzeciw ze strony Gawehna, nie z powodu wycieczki – dziś wieczorem ma przedstawienie, ale Voigt właśnie dorzuca: on w każdym razie czeka na moją wizytę – lecz z powodu posiłku. Wartka obrona ze strony Voigta i szybka zgoda. A więc obiad, po krótkiej drodze przez targ jarzyn, który się już rzeczywiście opróżnia, a o targu rybnym świadczą jeszcze tylko pozmiatane na kupę papiery, parę zwiniętych rogózek, kilka porzrzucanych desek od skrzyń, teraz mijamy kilka uderzająco ładnych domów, właściwie nie przyglądając się im prawie, rzuciwszy okiem na zegar ratuszowy, do wylotu ulicy, drugi dom przed kościołem, jesteśmy na miejscu. Wąskie schody, białe z niebieskimi listwami. Mieszkanie Voigta, książki i książki.

Panie Voigt, powiada Gawehn, o tym nauczycielu Poczce słyszałem: zbiera pieśni, ma już przecież tysiąc przeszło, zbiór Juszki...

Tysiąc albo i dwa tysiące, lud pieśniarzy ci Litwini, Juszka zbierał we własnej parafii, troszkę dokoła, Poczka zbiera tutaj, ciekawe zresztą: siedzi na samej granicy dialektów w swojej wsi, między tyłzyckim a ragneckim litewskim.

Właśnie, do tego zmierzałem. Gawehn mówi powoli, z namysłem, zna tych panów *professores et doctores*, filologów, etnologów, etnografów, porównawczych legendoznawców, etymologów tudzież Towarzystwo Niemiecko-Litewskie, a z drugiej strony zna owe litewskie pieśni, *dainos*, które są jak gdyby poza wszelkim kryterium, tak rozbrajające w swych jawnych nieprawidłowościach, a przecie wytrzymują każde kryterium. Gawehn powiada ostrożnie: To podobno Litwin, jak mi mówiono, ten pan Poczka. I dla porządku dodaje: w Wilkiszkach.

Oczywiście, mówi Voigt, zresztą tu urodzony, przy ulicy Wałowej, ale sam pan wie, jak to jest: potężne dzieje, aż po Morze Czarne, Vytautas Wielki<sup>[1]</sup>, a co do Jagiełły to w ogóle historię polską mają tylko za „ablegierka” litewskiej, przynajmniej wtedy; zna pan to, i gorąco kochane, i pielęgnowane – zamierzchłe, właśnie.

Te stowarzyszenia, powiada Gawehn, Vytautasa, tautininkowie.

No, tak, jak u nas: Luisenbund, Vaterländischer Frauenverein. Voigt daje pierwszeństwo paniom, choć mógłby wyliczyć całkiem inne stowarzyszenia czy coś w tym rodzaju owego roku 1936, a tych wymienionych właściwie wcale już nie ma na terenach Rzeszy, tylko jeszcze w przyznanej Litwie połaci kłajpedzkiej, która, jak podaje leżąca koło serwetki gazeta: pozbawiona jest dotychczas opieki Rzeszy.

Voigt odsuwa tę gazetę na bok, po prostu odrzuca ją, przysuwa talerz, wchodzi Maria, z męża Krönert, wnosi zupę: zielona fasola z baraniną.

Lubię do tego trochę kminku, zauważa Voigt zgryźliwie, ale to znaczy tylko, że się zamyślił, więc Maria mówi, zsunąwszy nieco na swe wesołe oczy krótkorzęse powieki: Wiem przecież, wszystkiego dodałam.

Dopiero potem, odpowiada Gawehn, ale trzeba to już gotować razem. Tak, lepiej pachnie, rzecze Maria.

Nic więcej.

A zatem opera. I nauczyciel Poczka, ów litewski zbieracz pieśni, co ma uczyć dzieci z Wilkiszek i Moczyszek, Maszurmatów i Kerkutwetów mowy, której i tak połowa używa w domu, ale tylko w domu, szkoła jest niemieckojęzyczna, jak kościół, jest szkołą kościelną; musi współpracować, o czym wie już zresztą od Voigta, i jest – objaśnia Voigt – nie takim Litwinem, lecz takim: mianowicie nie z tautininków.

Mam na myśli jego poglądy, dodaje Voigt, narodowe naturalnie, jak należy, pielęgnowanie ludowości, lingwista z zamiłowania.

[1] Vytautas Wielki – Witold, wielki książę litewski, stryjeczny brat Jagiełły.

Gawehn nie jest przekonany. Zna ów ton z towarzystwa Niemiecko-Litewskiego, mającego już historię, grzeczną filologiczną historią z ubiegłego stulecia; korzeniami tkwi we wcześniejszym i jeszcze dawniej wstecz, ale obecnie istnieje już tylko w głowach i zapatrywaniach profesora Voigta, profesora Starosta, profesora Kurszata, tajnego radcy Bezenbergera i innych panów lub w ich pismach, jeżeli sami tymczasem poumierali, to właściwie nie ma prawie znaczenia. I zna już ciąg dalszy, który nieuniknienie nastąpi, niczym fartuch, którym się ci panowie do tego interesu przepasują, chociaż interes to może zbyt obelżywe słowo dla owych zamiłowań, a więc: ginąca nieodwracalnie kultura ludowa, której szkoda, wypierana od południa i północy, wymierająca, a bardzo piękna mowa, przebogata poezja ludowa, już Goethe i Herder... – wszystko to wie. Lud dobroduszny, a gwałtowny, któremu przypisuje się pewien fatalizm w każdym ludoznawczym artykule, w programach szkolnych, w kwartalnikach, staropruskich przeglądach miesięcznych, sprawozdaniach z zebrań Towarzystwa Historycznego Prussia – Gawehn to wszystko wie – i nie dowierza.

Ale czyż się tak mówi tutaj, w tym pokoju, przed tymi książkami, w obliczu tych obrazów: Rambinas albo Engelsberg, albo Schlossberg, wyraźnie rozpoznawalne, a na pierwszym planie zawsze siedzące, śpiewające lub tańczące postacie młodych ludzi w barwnych, pięknie stonowanych strojach: Giseviusa, zasłużonego malarza, którego portret wisi między podobiznami zasłużonego Rezy i zasłużonego Passarge, przez co znów się łąduje przy Duonelaitlisie, gdyż obydwaj tłumaczyli go na bardzo dobrą niemczyznę, a w każdym razie z miłością – ale nie tylko przy nim.

Pojedźmy tam, myśli Gawehn, i zobaczmy sami. A głośno dodaje: Dobra fasola.

A Voigt, o czym też przez ten czas myślał? O operze, naturalnie. Voigt



mówi z uprzejmym naciskiem: Tak.

Weszła Maria, nie pulchna, długonoga piękność, od jakich przysłowiowo roi się po obu brzegach Niemna – raczej nadbałtycko sucha, nieco estońska, można powiedzieć, o kościstych i spadzistych, lecz silnych ramionach, z płaską piersią i wypukłym brzuchem. Jak to określa ludowa pogwarka: „Można na niej blaszankę nafty postawić” – zwyczajna pogwarka, nie specjalnie o Marii Krönert.

Tak, już czas, panie Gawehn.

Profesor Voigt wstaje, chowa jeszcze parę karteczek po rozmaitych kieszeniach, ład w nich panuje wzorowy. Dwukrotnie sztukowany, wspomniany już arkusz znalazł miejsce, zwinięty, w kieszeni kamizelki. Voigt staje przed barometrem, wiszącym między dwoma oknami, puka dwa, trzy razy w szkło, lecz barometr jak pokazywał, tak pokazuje: Pogoda. Więc jeszcze kapelusz z szerokim rondem, a teraz jeszcze laska.

Pokój został opuszczony. Tylko co siedzieli w nim jeszcze ludzie, wprawdzie nie chodzili za dużo, nie przemierzali go przecież, ale siedzieli tu, na porządnym krześle, ze swymi rozmowami i rozważaniami. I teraz odeszła też Maria Krönert, nawet kuchnia jest opuszczona, porządna, w spiżarni stoi kamionkowy garnek z pieczonymi drobnymi śledziami, zamarynowanymi w occie, z liściem laurowym i pieprzem, piwo jest przyniesione i ustawione w pogotowiu, tuż przy drzwiach. Mieszkanie zostało opuszczone. Story pozaciągane. Zamknięte.

Ale wszystko jest dalej. Książki. Stół. Dywaniki ze skrawków kryją deski podłogi. Zeszywała je matka Voigta, żona skarbnika gminnego, w Moritzkehmen, wtedy, w posiadłości starosty Koppa. Chłopiec miał zdolności, zwrócił na siebie uwagę inspektora szkolnego, proboszcza Connora, nauczyciel Tromnau przywozi go do miasta; uczy się bezpłatnie, potem zostaje stypendystą z pełnym wiktem, a w Królewcu mająca sto pięćdziesiąt lat fundacja dla litewskich młodzieńców pozwala

mu studiować, naturalnie, teologię. Mimo że nie jest Litwinem, już od paru dziesiątków lat nie całkiem tak jest, ale nazwisko pozostało. Studium śladami zasłużonego Rezy, który był z Karwait, na Mierzei Kurońskiej, wsi, zasypanej przez ruchome piaski, pod którymi zniknęła, potem znów się wynurzyła, można jeszcze rozpoznać miejsca, gdzie były gospodarstwa, gdzie stały pale, płoty lub krzyże nagrobne: gleba jest nieco ciemniejsza, brązowawa.

A zatem owo mieszkanie zostało opuszczone, czyli jest puste. Miejsce zabaw bez dzieci, pajęczyna bez pająka, coś z obu tych rzeczy. Pomieszczenie zostało opuszczone, jest puste. A ci, którzy je opuścili, Voigt i gość jego Gawehn, stoją na placu.

Zeszli po schodach. Na dolnej kondygnacji, zatem pod mezzaninem, zatem na parterze, mieści się knajpa, z tych lepszych, co prawda, obchodzony jest jakiś jubileusz służbowy, jak się to mówi, no i świętują, co łatwo stwierdzić sądząc ze śpiewów. I z gry na pianinie? Klawiatura stołowa, brzękliwy ton, trzy pedały, których ciągnęła są urwane, czyli że używa się ich daremnie. A co grano?

Tu się musimy zastanowić. Albowiem Voigt i Gawehn stoją już na przystanku kolejki, spotkanie z tym jubileuszem mają już za sobą. Zastanówmy się, przypomnijmy sobie, jeszcze cztery minuty do odejścia kolejki.

Przyszli przez plac Fletchera, kolejka stała przed niemieckim urzędem celnym, dwa wagony. Voigt zawołał do konduktora przez pół placu: Czy pan już gwizdał, panie Steiner? A Steiner odkrzyknął: Tak! No to znów Voigt: Dawno? Steiner: Tylko co! A z prawej strony, od gospody Berga, nadszedł pan Laupichler, pompy i rury, a w pociągu siedzieli także: Krauledat ze Związku Nauczycielstwa z małżonką oraz Winkler, artykuły spożywcze, napoje alkoholowe, również ze swą panią, i Krauledat pozdrowił Voigta tytułując go „kolegą”, zaś Winkler uniósł ramię z dłonią

na płask ku wchodzącym, i rzekł: Piękna pogoda.

Ale pytaliśmy, co tam grano przedtem. I kto grał?

Elizat, białowłosy, znów taki długi, kościsty dawny kapelmistrz, zwany tak dotychczas. Grał po cztery pięćdziesiąt za godzinę, wtórując do śpiewu: „*Tam, gdzie fale zalewu*”, tudzież „*Ciągnęło dzikich łabędzi pięć*” i „*Anulka z Tharau*” – swojskie, jak to mówią, piosenki, a gdy się zrobiło na chwilę wesoło: „*Co za dziw, jakież to dziwy!*”, ale do tego przyspiewywał właściwy tekst: „*O tai divai*”, co się nie wszystkim podobało, a gdy powrócił przytulny nastrój z pieśnią „*Młodości czas*”, Elizat, stary i znużony, wpadł znowu w litewską pieśń „*Kur bega Szeszupe*”, co ostatecznie nie było takie najgorsze, bo ta rzeczka, Szeszupa, płynie po niemieckiej stronie, o czym starszy sekretarz Nickel niestrudzenie później raz po raz jeszcze napomykał, kiedy było po wszystkim i Elizata zabrano do lekarza, radcy Picka za rogiem ulicy. Gdyż asystent Lenuwaitis z olbrzymim wewnętrznym przekonaniem, które, rzecz dziwna, okrzepło jeszcze pod wpływem piwa z akcyjnego browaru, podszedł z tyłu do grającego – w wysokich butach, jak nosił się od trzech lat – i wyrznął go półlitrowym kuflem w głowę, po czym nad padającym rozpoczął orację, jak wchodziło to w zwyczaj: junacko, jędrnie, o wielkiej potędze, a dalej już nic, Saara jest niemiecka, coś w tym rodzaju; sam nie wiem, owa Saara też nie szersza od Szeszupy...

Wtedy, podczas krzyku i wśród przepłoszonego towarzystwa na tej uroczystości, kiedy mało kto potrafił zachować spokój tak łatwo, jak asystent Lenuwaitis, przechodzili koło otwartych drzwi knajpy nasi wycieczkowicze i Voigt wpadłszy do środka, podczas gdy Gawehn pomagał się podnieść koledze, pchnął Lenuwaitisa w chudy urzędniczy brzuch i rzekł: Zameldujesz się na policji, ty pomuchlu, inaczej ja to załatwię w poniedziałek rano.

Dłatego tak się śpieszyli przez ten plac i Voigt musiał wołać na

odległość do Steinerja, który teraz, idąc wzdłuż pociągu, zawiesza na piersiach swoją metalową kasetkę biletową i wsiada do ostatniego, czyli do drugiego wozu. I kolejka już rusza.

Jedzie, jedzie, sunie wesoło nawet, odrobinę podskakując, całkiem nie jak na szynach, tylko jakby po bruku ułożonym z prawej i z lewej strony, no i naturalnie między szynami także. Kto tego nie zna, spogląda z niepokojem przez okno. Teren podnosi się trochę w miarę zbliżania się do mostu. A teraz mija pierwsze przęsło, to o niskich balustradach, teraz budkę na moście, a teraz pierwszy filar, i tu łuki mostu nabierają wspaniałego rozmachu. Kto wyjrzy, widzi w dole pod; sobą nurt, a kto patrzy przed siebie, ujrzy brzeg przeciwległy, zrazu jako wąskie piaszczyste pasmo łądu, a już od niego ciągną się groble, a za nimi łągi nieskończenie rozległe i zielone. Prussellen to miejscowość dobrze już na łąkach: niewiele z niej widać. Nawet stąd, z nasypu, którydy jedzie kolejka równoległe do szosy. Przeminał przeraźliwy, przeciągły zgrzyt, żelazo tarło się o żelazo, nasyp zrobił zakręt, więc i szyny z nim razem, pierwszy wóz, napędowy, musiał pociągnąć drugi przez dwa ostre łuki. Teraz ów dźwięk już wygaś, trwają tylko szarpnięcia wciąż w tych samych odstępach, zawsze w miejscu, gdzie szyna się kończy i jest spojona z następną. Ciągłe te same szarpnięcia, zanikające, jedynie kiedy się nasyp, jak teraz, nieco obniża, tedy wzrasta tempo jazdy, do czego człowiekowi łatwo się przyzwyczaić.

Gawehn znalazł fazę rytmiczną – trójtakt po dwie ćwiartki, który pasuje znakomicie bez nuty wstępnej; potem szarpnięcie tworzy krótką, wybijaną synkopę: piosenka kolista, dwuwierszowa, nastawiona na nieustanne powtarzanie: suktinis, taniec wirowy. Wpadł na ten pomysł na moście przez Uszlenkis, która nie jest wprawdzie rzeką, lecz wydłużonym mokradłem, doroczną pozostałością dorocznej powodzi, na wiosnę, kiedy woda tutaj, na prawym brzegu, sięga aż za Prussellen, i to przez sześć

tygodni, a czasem i w jesieni. Tak mu się to zjawiało. Kiedy jechali przez Niemen, po wysokim moście, kiedy od prawej strony sunął nurt, szeroki a ciemny, o ciężkim oddechu, okryty lotnym woalem białej koronki, migotem światła i drobnych, wałących się grzebieni wodnych, absorbowiała Gawehna jeszcze jedna fraza, jeszcze nie melodia wcale, albo już nie melodia, parę niezwykłych pauz, przy ciągłej zmianie rytmu, trwające modulowanie, jakaś fermata nie fermata, ritardando nie ritardando – może ton opowieści, ale znów nie parlando także; cięższe, dokładniejsze, jeszcze rytm, ale już nie wybijany, lecz niby z rozkołysanych łuków, niby oddychany, ponad rwącym wodnym nurtem.

Trzymało go to przy oknie, teraz zaczęły się łągi, ledwie zauważył, że pociąg przystanął, podał litewskiemu urzędnikowi celnemu przepustkę graniczną do ostemplowania, po czym ją schował, a pociąg szedł znów w łąki, coraz dalej. I dopiero przy tym suktinis dotarło do niego, -że współpasażerowie wdali się w rozmowę i zaszli w niej już dość daleko, co łatwo zauważyć po paru ostrzejszych zwrotach. Krauledat mówi, a jego małżonka powtarza te słowa w wyższej tonacji i cokolwiek zjadliwie: O tym nie można przecież tak mówić!

Voigt zreferował mianowicie niedawne zdarzenie w owej lepszej knajpie podczas jubileuszu, mówiąc z oburzeniem o chamstwie. A Krauledat, trzeba jednakże stwierdzić, początkowo milczał, pewnie musiał się najpierw opanować, lecz naturalnie skutek jawnego braku uczuć narodowych u pana kolegi Voigta. Laupichler zauważył od razu: Z tym mogą być komplikacje. I spytał natychmiast: Czy pan rzeczywiście użył słowa *pomuchel*? I dotknął go pan także, panie profesorze? Przecież on był w mundurze! A protest Voigta, przeciwstawiający godność uczuciu – jedno i drugie opatrzone tutaj, niestety, przymiotnikiem narodowy – zostaje odparty stanowczym powołaniem się na potęgę i wielkość, także i one: narodowe. Ale właściwie irytacja dała się odczuć, dopiero gdy

Winkler, wwiercając się głębiej w ową godność narodową, potraktował cokolwiek ogólnie pewien zwyczaj ludności tyłżyckiej. Rzekł: narodowo i narodowo, ale po południu hajda za Niemen na tort z kremem, i napycha się torby, bo to już po prostu za darmo, licząc na niemieckie pieniądze.

Tak, jest taniej, wtrąca małżonka Krauledata, wszyscy przecież tak robią.

I nauczyciel gimnastyki Krauledat zmuszony był uzupełnić: Nie jesteśmy odpowiedzialni za litewską złą gospodarkę i w ogóle.

Tu właśnie padło owo zdanie, powtórzone przez panią Krauledat, w podwyższonej tonacji, zdanie, przy którym Gawehn odwrócił się od widoku łąk do współpasażerów, jeszcze z suktiniszem w uszach:

Tak przecież nie można o tym mówić!

Może inspicjent Szwillus do tego miejsca miał rację: smyczek do ręki, nuty przed nos. Ale już nie teraz. Bujający w obłokach Gawehn, pierwszy skrzypek czy koncertmistrz, jak kto woli, wypowiada się ze znanstwem i precyzją: Ta zła gospodarka, o której pan mówi, panie Krauledat, ma, jak sądzę, prostą przyczynę.

Krauledat odchyła się wstecz, rozpięta się skrzyżowawszy ramiona, Winkler pochyla się do przodu; jest przeciwny temu spadkowi waluty i tej nadgranicznej wyprzedaży, jego własne obroty zmniejszają się z miesiąca na miesiąc. A teraz jeszcze musi wysłuchiwać tej przemowy Gawehna, musi jeszcze słuchać, jak Krauledat i Laupichler: wypowiedzenie umów handlowych przez rząd Rzeszy – ten człowiek powiedział: rząd Rzeszy! – musi oczywiście spowodować zamęt w strukturze gospodarczej małego państwa i wydaje mi się, że tak rzecz biorąc przyczyny tej złej gospodarki leżą raczej po naszej – bądź co bądź powiedział: naszej! – stronie niż po litewskiej.

To było powiedziane dobitnie. Patrzajcie, jaki ten Gawehn, myśli Voigt, a Winkler mówi: Zdawało mi się, że pan jest muzykiem? Tymczasem

jego żona próbuje teraz ostentacyjnie wciągnąć małżonkę Krauledata w rozmowę o starych niemieckich koronkach. Laupichler powiada: Hm, to ciekawe, i robi nader niemiecki wyraz twarzy, który zachowuje, jeszcze gdy Krauledat niedbale, strzepnąwszy palcami, rzuca trochę przez nos. No, trudno.

Ale jesteśmy, jak wspomniano, w okolicach Prussellen, nawet już kawałek dalej, wśród tych łąk, zielono i zielono, osiedla i gospodarstwa znikają tu prawie, tak jak wydłużona struga, ciągnąca się łukowato ku południowi od Prussellen ku Schakeningen, pierwotne łożysko Niemna, który gospodarował tu nielecho, zanim uregulowano jego brzegi. Jesteśmy już niedaleko Mikietów, kolejka staje tu na dłużej, tutaj ci, którzy jechali w pierwszym wagonie, przesiadają się do pociągu pojegeńskiego, który ma cztery wagony, a w dodatku dwa bydlęce, i czeka już na sąsiednim torze na pasażerów oraz na drugi wóz, który zabiera wagonowi napędowemu z kolejki tylżyckiej. Laupichler tu wysiada. Pożegnanie jest krótkie. Oto schodzi z peronu. Steiner stoi na dworze. No, zdenerwował się pan? I w ślad za Laupichlerem, który, nie zważając na pytanie Steinera, odpływa teraz dziarskim krokiem, stawiając stopę zawsze najpierw obcasem, dorzucą: Idźże do dupy na raki!

Nasze towarzystwo zmniejszyło się o jednego pana, ale w Lompöhnen – dużej wsi położonej przy linii kolejowej – wysiadają również Krauledatowie i dlatego oraz dlatego, że Winkler zasnął, a jego żona robi na drutach, rozmowa schodzi na inny temat i my go już także mamy.

Priczkus, w przekładzie Passarge sołtys Fritz, język ten jak wiadomo nie ma głoski „f”, zwykł opowiadać wiele dziwacznych rzeczy.

Te słowa całkiem ogólnikowo albo też jako nadrożne dla wysiadających, ale w każdym razie jako cytaty z „*Pierwszej Idylli*” Duonelaitisa: „*Dary Jesieni*”.

Voigt dobył szybkim ruchem z kamizelki swą kartkę zwiniętą w

rulonik i szybko ją rozwija; Voigt rzecze: Myślałem sobie, żeby w akcie trzecim, a potem raz jeszcze, zużytkować tę czy inną wielką scenę z „*Idylli*”, naturalnie swobodnie, to znaczy: z oryginalnymi osobami, więc z Enskysem, to ten z *didelis peilis*, z wielkim nożem, ten, co przybywa konno, i Doczysem, tym leniem, i Slunkusem, tym niechlujem, jak samo nazwisko wskazuje, ale sam Duonelaitis musi się wmieścić pomiędzy te swoje postacie i mówić coś pięknego: Jak żyjesz, ty wieprzu? Nie wstydzisz się? A może i jego przyjaciel ze studiów, Sperber z Kunzen, który go przecież odwiedza w Tolmingkehmen w roku 1763.

Tedy bez dłuższych wstępów jesteśmy od razu w samym środku tematu, a Gawehn wędruje już w najlepsze drogami i ścieżkami Voigta, proponuje dodanie kilku pieśni: podczas tego weseliska, które pan właśnie teraz miał na myśli, poznaje to po imionach, panie Voigt, myślałbym o żartobliwej piosence z pierwszego tomu Juszki, o starzejącym się zalotniku, który ledwie do izby wszedłszy, oczy ma utkwione tylko w poczęstunek –

Świetnie. Voigt się śmieje. Znam to. Kiedy wjeżdża na dziedziniec, koń klęka, żeby mógł zsiąść.

Więc teraz zaczynają przerzucać się pomysłami. Długi arkusz Voigta wzbogaca się o uwagi, przypisy, wskazówki, notowane specjalnymi formułkami skrótowymi Voigta.

Tymczasem jechało się ładnie, w górę i w dół, znajome Góry Połompskie, wzgórza morenowe, jak się uczymy w szkole, z okresu lodowcowego, tu można sobie wiele wyobrazać, ale znów nic rozsądnego: bo widzi się te wzgórza tak pięknie zielone, uprawne żytem, owsem, jęczmieniem i tak ślicznie zabudowane gospodarstwami, gęstwa bzów obrasta stodołę z jednego końca, a z drugiego i dokoła domu ogrody, sady i wysokie ostróżki, znajome wzgórza się zbliżają, dobrze się namęczy lokomotywka. Raz nawet jedzie w tył dla ponownego rozpędu, Winkler budzi się z sapnięciem, nie musi nawet wyrzeć przez okno, by stwierdzić,



że Laupichler dawniej całkiem korzystnie zbywał tu swoje pompy. Woda podskórna głęboko, a litewskie studnie: wykopany dół, ściany podparte belkami, nie wystarczają tutaj. A ten Laupichler, nie rozumiem tego człowieka, jak on gada, przecież jego interesy tutaj diabli wzięli. Pociąg staje. Polompen. Steiner wysiada. Przez tory, po wyschniętej glinie, nadbiegają ludzie machając rękami, już są i opowiadają coś panu Steinerowi, a dalej, przy pierwszej zagrodzie, widać teraz babkę, czarno ubraną, w czarnej chustce na głowie, więc już wszystko wiadomo. Biegnijcie no, dzieci, powiedziała im, niech pan Steiner poczeka. No, więc czeka, nawet wychodzi trzy kroki na spotkanie babce, pomaga jej wsiąść do pociągu.

Następnie gwizdże.

Kiedy dziewczęta Pansegraua stoją właśnie przed swoim domkiem, słyszą może już ten pierwszy sygnał, a nie dopiero następny, który Steiner daje na wysokości Kerkutwetów. Wilkiszki, gdzie Pansegrauowie obsługują stację, są już niedaleko. Wprawdzie widok na wieś po prawej stronie zasłania spory wzgórek, ale na lewo, gdzie jest płasko, widać już coś niecoś, Maszurmaty, gdzie siedzą Meierowie, a potem szeregiem, zupełnie niezwykle, jakby tworząc ulicę, parę drobniejszych zagród, na końcu dom z czerwonej cegły, jakby jakaś fabryka.

Tu trzeba więc wysiadać – Winklerowie jadą dalej, do Wiszwilla – tędy przed tą szopą i jej mieszkalnym przedłużeniem, czyli przed tym, jeśli kto chce, dworcem, gdzie przez okno wyczierają pani Pansegrau i pani Epstein, która kiwa do swego męża, tekstylia, kapelusze i czapki.

Voigt odbywa z nim krótką rozmowę, aż do szosy. Epstein spytał wysiadając: Pan idzie do pana Poczki, o ile z pana słów zrozumiałem, bardzo się cieszę.

Trzeba więc zapytać, co skłania pana Epsteina do tej radości. Czegóż się dowiadujemy?

Człowiek, który śpiewa, to zawsze radość, moi panowie.

To było, Bóg widzi, dobrze pomyślane. A do tego okrągła, wesoła twarz Epsteina. Ciesz się, Epstein, Voigt nie musi ci dopiero opowiadać o starym Elizacie w Tylży. Znasz sam jeszcze całkiem inne historie. Nie myśl teraz o tym.

Patrzcie, nie myśli o tym.

Do widzenia, panie Epstein.

A teraz przez wzgórze w dół, do wsi. Wieża kościelna kłuje przestwór. Dom bliżej to ma być szkoła, a w domu naprzeciwno, na górze, nad piwiarnią Plattnera, mieszka ponoć Poczka.

Tyle uprzejmości. Snuje się opowiadanie. I kiedyś kończy się przecie. Mówi się to, co można powiedzieć.

Chodźmy, panie Gawehn, powiada Voigt. Gdyż Gawehn stanął. Wzrok jego wędruje po wsi, po majaczących zarysach wzgórz w oddali, po polach na lewo, po sobotnich kolorach: ciemna zieleń, jasna żółtość, czerwonawe tony, z wolna głębocejący błękit. Opowieść tak się snuje.

## ROZDZIAŁ II

Filizanki są zielone, dzbanek do kawy niebieski, dzbanek do mleka biały, talerz z plackami żółto-czerwony. Pani Plattner sama wniosła to wszystko na górę na brązowej tacy. Pan nauczyciel ma wizytę z miasta.

Trzeba postać jeszcze chwileczkę we drzwiach, z tacą opartą rogiem o brzuch, gawędzi się o wsi i o mieście, o tych licznych różnicach, zna się to wszystko przecież, i że te różnice występują tak jawnie, i o jutrzejszym święcie.

Jutro możemy tu zamknąć, jutro, bo wyszynk jutro będzie miał tylko Wythe, jutro.

Wythe jest oberżystą w Bittehenen. I czy Gawehn wie o tym, czy nie, Voigt w każdym razie jest zorientowany. Jutro Vaterländischer Frauenverein ma swoje doroczne święto w Bittehenen, i jutro obchodzą Litwini swego Vytautasa na Rambinasie. Są to dwie z gruntu odmienne sprawy, toteż dzieli je dwieście metrów łąki, można się tam roztasować, wozy wjeżdżają, dzieci mogą się bawić, przechodzi się z oberży na wzgórze, także z powrotem, na wzgórzcu nic nie ma: mroczny las świerkowy, ciągnący się po stokach w dół, ku północy i północnemu zachodowi, i po równinie, z dala od rzeki, która od południa prze ku wzgórzcu. A na szczycie Rambinasie, pośrodku małej polanki: głaz, kamień ofiarny, tego niejakiego Perkunasa, który potrafi grzmieć, jak powiadają, święty kamień z wyrąbanymi w nim jak należy rynienkami ściekowymi, czarny i szary.

Tu w górze, w otoczeniu świerków, widać może spomiędzy pni światło

stojące nad nurtem, samego nurtu nie widać, strzępy światła, bo wiatr od koryta wodnego ciągnie w lasy na wzgórzach i obłamuje suche gałęzie, a las w ogóle rzednie po tej stronie, bo woda wwierca się w górę, podmywa ją i draży, porywając z sobą ziemię, waląc się z drzewami i krzewami. Jedynie trwa nad tobą niebo, regularny krążek nieba.

Voigt wie o tym, Gawehn dowiaduje się, pani Plattner odeszła, nauczyciel Poczka mówi: Zdaje mi się, że pogoda się ustaliła.

Gawehn mówi: Macie tu piękną wieś.

Łatwo tak twierdzić, jeżeli się spogląda, jak Gawehn, przez okno pokoju Poczki na zapuszczony park majątku. Pokój wychodzi na dziedziniec, a więc od strony posiadłości. Voigt dodaje: Trochę tu głośno.

Okno jest otwarte i słychać parę przenikliwych głosów, można niemal zrozumieć, o co idzie na dole, w sali Plattnera.

*Mój dzielny, wierny ludu.*

Ostry głos, garść dźwięków powyżej naturalnego rejestru, niezgorszy miech puszczono tam w ruch, ponad niemałą podporą przeponową.

To ci musi być herod-baba.

Gawehn mówi po prostu do siebie; nie może to być chyba szkolony organ, tutaj, na wsi, chociaż nigdy nie wiadomo. A Poczka dodaje wyjaśniająco: Pani Fröhlich. Chociaż: cóż to wyjaśnia?

Teraz na dole chóralne *recitativo*:

*Zjawiamy się, nadchodzimy*

*Liście na lipie*

*Ze śpiewem i modlitwą*

*Liście na lipie.*

A teraz znowu głos: *Mój wierny ludu*. Tym razem jakby wypowiedziane

okrągłym łukiem, w pochyleniu tułowia, niby z kulbaki. Ale powinno paść inaczej, jak skinienie z karety, sponad koronkowej chusteczki.

Na dole objaśniają to właśnie i odbywają próbę. Są tam dwa lub trzy głosy męskie, a ów nieco przeraźliwy organ głosowy wciąż się odzywa, ale teraz już ciszej.

A na górze powiada Voigt: No, to pan coś niecoś przeszedł!

Ma na myśli próby, które się tu od tygodni odbywają, jak można sobie wyobrazić.

No cóż, to już chyba ostatnia.

Teraz zaczyna śpiewać chór i już wiadomo, co grają: ubodzy, lecz wierni synowie kraju prusko-litewskiego oddają hołd swej królowej, owej utrapionej Luizie, którą tak kochano po jej zgonie; miejsce akcji: Tylża, czas: lipiec 1807 roku. Jest to sztuka starszego nauczyciela Brühfische, z którą się wzrosło, z rolą Luizy jako narzeczonej i dziewicy, z tą sztuką, zarówno w Luisenbundzie, jak we Frauenverein.

Frauenländischer Vaterverein, rzecze niechętnie Voigt, zmieniając intonację i wymawiając w obu ostatnich sylabach szeroko i z naciskiem „e”.

Czy nie mógłby pan tam...

Gawehn urywa natychmiast. Trochę go wprowadzie męczy ten śpiew, ale: Poczka – nie, tego od niego niepodobna wymagać, śpiew, nie, toż to nie tylko śpiew, na pewno nie, ale że się tak ciągnie, że ten całkiem fałszujący drugi głos tak się rozlega – to wręcz boli. Ale nic zaradzić nie można.

I tak się ciągnie dalej tam, na dole. Rozpoczęto inną scenę. Tym razem nie plenerową, znacznie szybszy, lecz bądź co bądź cichszy dialog, co najwyżej słyhać od czasu do czasu, że coś spada, a teraz właśnie, w tej chwili, coś parokrotnie ciężko huknęło o deski.

To pruscy Litwini kłękają, rzuca Poczka i łyknąwszy kawy wstaje.

Gawehn powiada: Może byśmy usiedli w gospodzie?

Ale przecież pierwszy skrzypek widział sam, kiedy przedtem wchodzili do oberży, kto tam siedział!

Urbszat i Kairys, Lengwenaitis także, czyli radca gminy, z kasy Reiffeisena, leśniczy Szwill, prezentor Kankelat, Nickel Skambraks – poseł do landtagu, rozmaici ludzie i wszyscy przy jednym stole, wśród nich paru obcych, na dworze stoją dwa samochody.

Tam jest ten Neumann z Kłajpedy, wyjaśnił Poczka i, jako nauczyciel, dodaje: Ze swoimi komilitonami; równie dobrze mógłby powiedzieć: kompanami czy szajką.

Otóż ów Neumann, prokurator Neumann, kłajpedzki przywódca niedawno utworzonej w Berlinie Krajowej Partii Kłajpedzkiej, lojalny i prawy mocarstwowiec niemiecki, sami słyszycie, jutro będziemy mieli uroczystą mowę, że proszę siadać.

A więc nie w gospodzie. Lepiej przejść się po wsi.

Ale przedtem jednak jeszcze: opera. Dlatego tu przyjechali.

Chcieliśmy prosić pana o pomoc, panie Poczka, mówi Voigt.

I zaraz kartkę z kamizelki, rozwija, wygładza, tym razem na stole, i teraz z ust Voigta, przejętego widokiem okolicy, którą przebyli, drogą wiejską rozpościerającą się od dworca ku wsi, całym tym pejzażem, w który się wchodzi i na który, gdy podejść bliżej, składają się gospodarstwa, domy, stodoły, stajnie, kryte strzechą lub dachówką, niekiedy gontem, ogródki, sady lub małe pastwiska dla owiec, z rozpiętymi w tle wzgórzami, a teraz jeszcze rzutem oka na park: więc teraz z ust Voigta, przejętego też tym pokojem: litewskie kapy, wianek z czerwonymi, zielonymi, żółtymi wstążkami nad łóżkiem, rzeźbiony wieszak na ręczniki, dwa dziwnie ładne kolorowe druki po obu stronach okna, portret staruszki nad konsolą; więc teraz z ust Voigta: opera.

Sceny, występy, jeden monolog, jedna apostrofa urzędowa, zaręczyny,

ostry dialog, lecz przedtem: odjazd młodzieńca ze wsi do miasta, syna wdowy, pożegnanie u płotu. Machanie czapką, unoszenie laski przybranej pękiem wstąg, wiatr porywa słowa daleko od drogi – coś w tym rodzaju, a wreszcie wesele z wieloma postaciami, Slunkius, Doczys, Selmyka, Magusza i Asta. I klawikord, a potem pierwszy fortepian, *dandum quandoquidem etiam posteritati aliquid est*, na końcu drugi fortepian, śpiew trzech kobiet z parafii, zapalenie łączywa.

Gawehn zgłasza zastrzeżenie co do mętnej łaciny.

Można by to powiedzieć po niemiecku, rzuca Voigt, myśl powinna rzutować na potomność.

Poczka proponuje niemieckie rymowane listy Duonelaitisa: „Wy, cienie wartkiego czasu” i: „Twoje nic przeminęło, zniknęło twoje wszystko”. Ale to chyba nie to samo: wiersz pocieszenia dla wuja, radcy urzędu w Sommerau, po śmierci ciotki; niemczyzna – jest jeszcze młody wówczas; łacina przysłała mu z wiekiem, podczas rozmyślań w sadzie, medytacji o szczepieniu i oczkowaniu, o tej wsi, o ludziach: „*A potem umrę. Co będzie wtedy?*”

Myśli wiejskiego proboszcza. Pasują do nich zatroskane raporty starosty Ruhiga do swoich władz z roku 1755: Ludzie słuchają wyłącznie jego.

Chcieliśmy poprosić pana o pomoc, panie Poczka.

Pan sam wie to wszystko, profesorze.

Poczka ma słuszność. Voigt wie, jak ubierali się wtedy, jak żyli i jak mówili; wie także, jak dzisiaj.

Zresztą w Tolmingkehmen już inaczej, dawniej powiadano, że wypieranie nieodwracalnie już, niestety, zanikającego folkloru idzie od południa ku północy, szkoda go, ale w okolicy Ragnety przetrwało jednak coś niecoś i tutaj, na północnym brzegu Niemna, z pewnością jeszcze, w miarę posuwania się na północ. I w tym miejscu stosowna jest owa

wskazówka Gawehna co do pieśni. Poczka kartkuje swoje zbiory na stole.

Tutaj, powiada Voigt, schwycił jakąś kartkę, tłumaczy dla Gawehna, wybijając prawą ręką rytm skandowania, przeciwstawiając odmienną melodię mowy opornemu jakby rytmowi, z niezwykłymi przeciągłościami, z powtarzaniem samogłoski – „a” w słowie piasek – by zrobić z niej dwie sylaby:

*Pod tym dębem, tam w piasku białym –*

A teraz przyśpiesza, nadając rytmowi wybujałość:

*Zielony dąb ojcem mi będzie,  
a piasek biały matką,  
braćmi moimi latorośle dębowe,  
a miękkie lipy siostrami.*

Latorośle, powtarza z powątpiewaniem Poczka.

Ma pan rację, ale młode drzewa to może już za dużo.

Sprawa opery się posuwa, pewnie, pewnie, a tam na dole, w gospodzie, także.

Kółko zebranych siedzi jeszcze przy stole, tutejsze piwo, a w każdym razie to, które tu dają, jest dobre. Wolf-Engelman, Kowno, i państwo z próby także się przyłączają, naturalnie w kostiumach, bo tak się trudno z tymi łachami rozstać, owa pani Fröhlich, nauczyciel Szymkus, fryzjer Berger, żandarm Wasgien. Jakaż tutaj wielka odbywa się gadanina i jak brzmi podniośle!

Mała Gendrolisa, Tuta – mówi Kajrys – zadaje się z tym Litwinem.

No, trzeba będzie wybić jej to z głowy, odzywa się ta pani Urbszat, która też brała udział w próbie jako ochmistrzyni Voss.

Nie tu, we wsi, powiada fryzjer Berger, to się jutro załatwi.



Czyli że program uroczystości obejmuje jeszcze coś więcej. A ci goście, którzy przyjechali samochodem, też pewnie coś od siebie dołożą.

Prokurator Neumann coraz to zerka spod oka na swoich komilitonów, tak kiedy niekiedy: to na tego kompana, to na tamtego z szajki. A wraz też frunie nad stołem mocne słowo i rozpryskuje się jak trzaśnięcie z bicia nad uchem: Hańba-Narodu albo Niemiecki-Honor, cokolwiek, a głośno, tak jak się takie rzeczy mówi, kiedy właściwy człowiek je do gęby bierze: szeroko rozdęte chrapy, ściągnięte kąty ust, bez ściszenia. Wówczas führer Neumann ma już hasło dnia; może wypróbować całą partię swojej jutrzejszej uroczystej mowy – jak będzie działała – jest w tych sprawach dokładny.

Teraz z okazji córki Gendrolisa, Tuty, uzupełnia pokrótce Honor Godnością i niezwłocznie przechodzi do starych Teutonów.

A chociaż dotychczas słuchano tego kłajpedzkiego pana z szacunkiem i chyba tak samo będzie nadal, jednak prezentor Kankelat nie wytrzymuje dłużej, piwo jest dobre nie mówiąc już o wódce, i:

*Po obu brzegach Renu siedzieli*

*I w gardziel wino leli –*

I wtręt Neumanna: Nasz Ren to nasz Niemen! – zostaje całkiem nie dosłyszany.

I jeszcze raz:

*I w gardziel wino leli!*

A teraz fałszywy wrzask żandarma Wasgiena i Szwilla, i Urbszata, i przeraźliwy głos pani Fröhlich z powtórzeniem:

*Po obu brzegach Renu siedzieli...*

i godne stwierdzenie starego Lemkego, siedzącego na wycugu:

Ależ wielką dupę musieli mieć ci Germanie! – godne zakończenie rozmowy.

Niezbyt łatwo przychodzi Neumannowi utrzymać w karchach kminkówkę z żytniówką, albo, jeśli się chce: ująć ludzi w ryzy, czyli utrzymać ich przy temacie.

Wiemy przecież, o jaką stawkę chodzi, powiada stanowczo.

No pewnie, wszyscy to wiemy, woła Plattner od bufetu, co ma podzielać uspokajająco.

Ale Kankelat zakrzyknął: A cóż dopiero my! Mnie przecież wpakowali tego Litwina! – i chce prawić dalej, lecz nieoczekiwanie milknie, jakby wody w usta nabrał.

Bo właśnie po schodach schodzą tyłzyccy panowie, poprzedzani przez Poczkę.

Kankelat wstaje od razu, z krótkim skinieniem głowy mija Poczkę i steruje ku Voigtowi: Panie profesorze, skąd się pan tu wziął?

Przyjechałem kolejką, Voigt na to, czy mogę zapoznać pana z panem koncertmistrzem Gawehnem, pana Poczkę zapewne pan już...

Znam, odparł pośpiesznie Kankelat, po czym: Bardzo mi przyjemnie, panie koncertmistrzu. A do Poczki: Porozmawiamy jeszcze o tym, co dziś rano. – Jest to raczej syknięcie.

Słucham pana, panie Kankelat? – Voigt wkłada kapelusz, po lekkim ukłonie w stronę stołu, a ponieważ Kankelat z przeczącym ruchem powiedział: Ach, nic! – uprzejmie, powoli odwraca głowę: Przejdziemy się trochę po wsi.

Neumann nastawia uszu – profesor! – zwinnie, lecz z zachowaniem *decorum* śpieszy ku grupie, staje, jeden szybki ruch: podbródek opada na węzeł krawata i jedzie na powrót w górę, wtedy wysuwa się wydatna grdyka: Neumann, nieco chrapliwie, potem łagodniej: Mam honor z

profesorem Voigtem? – I na niewzruszone: Oczywiście! Voigta zaraz, trochę sztywniej: Będzie pan miał przyjemność znaleźć tu prawie nietkniętą niemiecką wieś.

Ale Voigt właśnie wcale nie po to przyjechał.

Nietknięta? No, no, to o Tucie Gendrolisa? Staruszek Lemke kołysze głową, oczywiście ze śmiechu, z najszczerzej uciechy. Nietknięta! No, no! A w ogóle, czy to właśnie nie ten jej facet, facet Tuty? Ten Litwin? Ładny chłopak!

Po niemiecku też umie, zaznacza pani Fröhlich, która jest z miasta, ale nie ma to żadnego znaczenia.

Każdy umie! – odpowiada Lemke, wie tyle, co mówi, ale i nie więcej.

*Kto niewierzący, nie będzie zbawiony, kto mąki nie miele, nie będzie umęczony.*

To śpiew przy stole na dalszym planie, od kąta koło pieca, śpiew bezzębny, nie bełkot, nie, skowyt jak szmata, przyczepia się do człowieka.

Pożegnanie pode drzwiami. Voigt szedł krok za krokiem dalej, ze świadomością celu, ku wyjściu, musiał prawie ciągnąć za sobą układnego Gawehna. Teraz stoją na placu, gdzie ulica od dworca wpada w wiejską drogę.

Dokąd ciągnęło Poczkę, to już wiemy. Odszedł.

Kościół zostawimy sobie na jutro, powiada Voigt.

Tedy kościół zostaje w tyle po lewej stronie, za plebanią wieś się i tak kończy, ciągnie się w prawo, wzdłuż brukowanego gościńca, który wreszcie rozgałęzia się w trzy ulice, środkowa jest szosą i prowadzi ze wsi na wzgórze.

Mijają dość zapadnięte szopy, za którymi płaskowyz z porozsiewanymi na nim bezładnie zabudowaniami dóbr niebawem się obniża, potem dalej

ku łąkom, za nimi teren bagnisty, co poznać po zaroślach i sitowiu, a także po bardzo wczesnie wykopanym torfie, który się tam suszy spiętrzony. Droga biegnie u stóp pasma wzgórz, ciągnącego się po lewej stronie. Na stokach do połowy wysokości gospodarstwa, a za nimi, aż po szczyt, ogrody. Po drugiej stronie drogi, na płaszczyźnie, z rzadka rozrzucone gospodarstwa.

Uszli już kawał drogi przez wieś. Pani Kankelatowa, która wybiega z budynku szkolnego, bo wpadło jej, do głowy sprowadzić męża z gospody, ratować chorego nieszczęśnika od pokusy, a zatem i zagłady – przedwczesnej wobec jego sześćdziesięciu lat – otóż pani Kankelatowa zdążyła ujrzyć jeszcze plecy: dostojnie szerokie Voigta oraz smukłe a wąskie Gawehna, zanim obydwaj panowie skryli się za obejściem.

A któż by to znowu mógł być?

Ale Kankelatowa nie ma teraz czasu na podobne rozważania. Teraz najważniejsze: ten nierozsądny człowiek!

Właściwie ma nawet rację: od rana same zgryzoty. Co się też dzisiaj nieustannie dzieje!

Z samego rana: krzyk w trzeciej klasie, u małych, mówię wam: ogłuchnąć można! Więc porzuca nie zasłane łóżka w środku roboty, pędzi tam, a dzieci samiuteńkie, Poczeki ani śladu, więc nic dziwnego: wchodzisz do klasy, a tam bałagan, zabawa w ciuciubabkę, w chowanego, między ławkami.

Kiedy znienacka wchodziłam do klasy, dzieci ślicznie wstawały i mówiły: Dzień dobry! To pani Kankelatowa powiedziała jeszcze uprzejmie, ale raczej głośno, owym dzieciom, dobitnie podkreślając „dzień dobry”, tak, jak sobie można wyobrazić „dzień dobry”, wypowiedziane przez czterdzieścioro dzieci naraz. Ale, jak się okazało, niełatwo było dzieciaczki do tego zagrzać, dopiero po szczegółowych pouczeniach, zwracaniu się z nazwiska i nawet paru szturchańcach. A zaś na pytanie o

nauczyciela odpowiedziano niesfornym chórem, ale jednak już składniej niż przy powitaniu: Pan nauczyciel był, ale wyszedł.

Czyli że Poczki nie ma.

Zatem wypadło posłać małego Endruszata do Plattnera; grzeczne dziecko. Po pół godzinie zjawił się Poczka. Zaspał. Jakże to teraz będzie?

Leży tak półciałem na swoim biurku, wszystkie dziesięć palców w stosie kartek, naftowa lampa się wypaliła, szkiełko pełne sadzy od góry do dołu, w pokoju śwąd... mogę sobie już wyobrazić: zasnął przy tych papierach, ma tego a ma w pokoju! Jeszcze do reszty człeczyna zbkukuje.

Najgorsze było dopiero to, że jej własny mąż, w tym kontekście pan prezentor, a więc zwierzchnik Poczki, także był nieuchwytny. Przez całą noc nie wrócił do domu. Schlanego, a zatem do złego zwiedzionego, odszukała – a gdzie? U nowego pastora.

Zapukała na probostwo o dziewiątej, kiedy obeszła już trzy wiejskie gospody i zajrzała do Lengwenaitisa i do Kairysa, bo oni sami pędzili gorzałkę – nielegalnie, ale całkiem niezłą – punkt o dziewiątej, gdyż duchownego nie godzi się molestować wcześniej, ale Laser, nowy proboszcz, od razu poprosił ją do środka i powiedział: Ja ich jeszcze nie rozróżniam, niech pani sobie wyszuka swojego. I te moczymordy leżały tam pokotem na podłodze. Zresztą całkiem nieszkodliwie, jak rzekł Laser – i właściwie naprawdę tak było.

Laser przeniesiony tu świeżo z Robkojów, rozpoczął sprawowanie nowej godności, jeszcze przed niedzielnym wprowadzeniem, od zebrania u siebie gminnej rady kościoła – w piątek o siódmej wieczorem. Wszystko zostało też omówione szybko i bez sprzeciwu, urzędowo, ale później ktoś, a za nim ktoś jeszcze – nie da się już chyba stwierdzić, kto, gdyż Laser ich jeszcze nie rozróżniał, a niebawem już i oni sami stracili rozeznanie – nawiązał do opinii, jaka poprzedziła tu nowego proboszcza: Wesoły człowiek! A do tego określony gest, jak w piosence ze słowami

„*Podnieście kieliszki do warg!*”, gest w niektórych okolicach wyrażany pogwarką: „Kucnij, duszo, to cię pokropię!”

Laser, jak się okazało, istotnie nie lubił psuć zabawy. Przyniósł butelki, i to wcale nie z piwniczki, lecz od razu z szafy w kącie, pootwierał je wszystkie, ustawił na stole i sam też za kołnierz nie wylewał.

Ale też zdawał się mieć wprawę nie lada. Ani Kankelatowi jednak, ani też innym to zebranie nie posłużyło. Pani Kankelatowa musiała go prowadzić do domu i nie mogła mu nawet głośno złorzeczyć, ba, nawet nie po cichu, tylko w duchu! Żeby go nie drażnić. Bo mąż sobie z tym umiał poradzić: stawał na placu przed kościołem lub szkołą i ryczał na całą okolicę! A teraz siedziało toto już znowu w gospodzie, ale trzeba jednak mówić „ten”, nie „to”: biedny człowiek, zbałamucony, chory.

Ale pewnego dnia, powiadam, pęknie moja cierpliwość!

Z tymi słowami pani Kankelatowa we drzwi – i już stoi w piwiarni Plattnera.

Dobrze się przypatrz teraz, Hermino Kankelat, nie zapomnij tego za prędko! Kogo tu widzisz? Czy mamy ci ich wyliczyć? Jak tu siedzą i krzyczą, i wiwatują na cześć swego führera: a on wciąż klepie któregoś z nich po ramieniu i przypomina o innym, większym führerze, który nie nazywa się tak, jak on, Neumann. I tym innym się przyjrzyj, tym współwinnym, czy komilitonom, którzy chcą kogoś tam wytepić. Ludzi, zdaje się. Wyginać ich w stopy. Koniec i kropka. I posłuchaj sobie tego krzykacza, znanego w całej wsi, który siedzi z nimi: Kto niewierzący, nie będzie zbawiony, kto mąki nie miele, nie będzie umączony.

Spróbuj stąd wyłowić swego chorego, miejmy nadzieję, że ci się uda. Ale nie zapomnij tej sceny.

Nawet jeżeli teraz, nieoczekiwanie bodaj dla wchodzącego, zaczną śpiewać chórem, krzykacz także: „*Srebrny miesiącu, wędrujesz cicho!*” Albowiem Plattner otworzył był okno, lecz teraz, przy tym śpiewie, zaraz

je znów zamyka.

Plattner nie wpuszcza już nikogo. Lepiej ekskluzywne towarzystwo, niż żeby był skandal. Konsumpcja będzie chyba wystarczająca. Zamknął salę, a kto zapragnie ruchu, niech najlepiej pójdzie do domu. Ale bez nieuprzejmości. Nawet jeżeli to niełatwe. I pani Plattner zamyka teraz jeszcze drzwi wiodące na dziedziniec.

Obsusiają mi wszystkie begonie.

Na górze, nad gospodą, jest cicho. Okno zamknięte. Opuszczony pokój. Przedtem byli tu ludzie, siedzieli sobie, mało nawet wstawali, najwyżej przeszli parę kroków, nie przemierzali więc pokoju, ale siedzieli sobie na mocnych, litewskim snycerstwem zdobionych krzesłach, ze swymi rozmowami i rozważaniami. Następnie odeszli, pokój został opuszczony.

Story nie są zaciągnięte.

Światło, które okrąża wieś, zmieniając się nad rozmigotaniem łąnów za probostwem, nad oparami małego stawu przy kuźni, nad woniami mokradeł i torfowiska, co są niby dymy, nadchodzi ku oknu z coraz to nowymi kolorami, odcieniami, tonacją. Może się zatrzymało. Sunie po kapach litewskich na łóżku i stole: białe tkaniny o polach lśniących i matowych, czworokątach zmiennej szerokości, wzorzystych i zakończonych potrójnym szlakiem krzyży, trójkątów i gwiazd. Muska litewskie snycerstwo na oparciach krzesel i wieszaku na ręczniki; dziewięciosiły, sześciokąty, przełamane półkola, spiralne zwieńczenia.

Przedziwnie piękne obrazy po obu stronach okna rozbłyskują po trosze za tym światłem, które weszło do pokoju, a ich nie dostrzegło, tych obrazów Czurlionisa. Jeden: Dwaj królowie. Brunatne i błękitnawo-zielone tony, przed plataniną ciemniejszych pni i konarów, skroś które prześwieca wygwieżdżone niebo. Młodszy król podaje starszemu na dłoniach zagrodę wiejską, nad którą rozwarł się krążek słonecznego

światła, zaś stary król z długą brodą poważnie się nad tym pochyla. A drugi obraz: Dwa krzyże. Właściwie dwa oliśtrowane słupki, które pod nałożonym na nie szpiczastym daszkiem niosą na sobie dwa małe, otoczone misternie na wzór poroża wypiłowanymi ozdobami krzyże. Obydwa ustawiono na łące, gdzie można rozpoznać rumianki i kampanule, nad wąwozem, gdzie może płynie jakaś woda. A za nim wznoszą się zbocza z pasmami pól, ku górskiej drodze obsadzonej brzoza. Tego Czurlionisa, który próbował szczęścia w Wilnie, potem w Petersburgu, zachorował i umarł w roku 1911. Lśniąc więc w ślad za światłem, które ich nie dostrzega, które podchodzi do obrazu naprzeciw okna, do fotografii starej kobiety. Co można tu zobaczyć, jak to wyrazić? Oczy starej kobiety.

Wejrzenie, które ogarnia patrzącego, wychodzi mu na spotkanie albo czeka na niego. I od dawna już zaczęło łączyć czekanie z owym wyjściem skwapliwym naprzeciw, a wreszcie – maskować je. Pełna gotowości uprzejmość. Która nie zagarnia, która zostawia metr czy pół metra przestrzeni: dla ruchu tamtego, bo nie powinien być przymuszany ani nawet namawiany, ni przez to spojrzenie, ni też przez własny odruch: że staruszkę należy wesprzeć.

Te oczy zbadały, co było do zbadania.

Znaczy to tylko, że widziały i że działa się inaczej aniżeli z ziarnkami grochu w bajce. To było dobre dziecko: dobre, złe, lecz właśnie – zręcznie, gładziutko to tu, to ówdzie... Świat nie był aż tak znów grzeczny.

Światło jęło się nieco naprzykrzać. Niekiedy zdawało się, że zmienia oświetleniem przedmioty, że zachwiewa formę i konsystencję. Więc przymrużają się trochę powieki; spojrzenie zwięzło się, ale można przecież wyczuć, kiedy to się stało – stan przemijający, irytujące światło minie, wtedy znowu jak zwykle: wejrzenie – z ruchu naprzód i z czekania.

Mocne usta do mówienia. Gdyż niemało trzeba było powiedzieć, rozważania i namysły nie odbywały się bez słów. Potem, kiedy dzieci



podrosły, inna mowa: komunikująca, lecz już nie nastawiona na pytania. Tyleż tracąca na realności, co zyskująca ważkość. Tedy znów się nasunęła powściągliwość, dystans; pół metra czy metr. Upomnienie, pouczenie – morał, te sprawy pomyślane, wtłoczone w okoliczności życia, w Dobro i Prawość jako postępowanie powszednie.

Portret starej kobiety – matka Poczki. Sześćdziesiąt kilka lat, w barwnej chustce i sukni równie solidnie tkanej, jak zdecydowanie zapiętej pod szyję. Lekki wyraz niezadowolenia u nasady nosa i w prawym kąciuku ust odnosi się do fotografa, który snadź za długo marudził z całą procedurą.

Co się da opisać w takim wizerunku?

Może to, iż trzeba coraz to nań spoglądać?

I odchodzić, jak owo światło.

Ono zaś, zostawiwszy za sobą pokój, sunie po murze domu, tamtędy do parku, poprzez zielone wierzchołki, jakby wycinało w nich zygzakowaty wzór.

Opuszczony pokój pozostał. Wzniósł się brzękliwy ton od desek podłogi, czy też opadł z belkowanego sufitu, trwa, jakby dokoła szarpniętej struny gitary lub ruchliwych drewnienek starego klawikordu.

Voigt i Gawehn stoją przed drzwiami gospody. Przeszli długą drogę, aż daleko za wieś, gdzie za ostatnim wzgórzem po obu stronach szosy rozpościera się już równina ku rzece i jej dopływowi. Długą drogę z długimi rozmowami: o tych litewskich sprawach, a zatem i o sprawach niemieckich.

Te sprawy tak się miały zawsze, zauważył Voigt. A Gawehn przystanął raz, by się nad tym namyślić: Tylu dobrych ludzi i tyle starań o to dobre współzycie. Tyle zmartwień, ale tyle przecież dobrej woli – i co to wreszcie dało?

Czy to „wreszcie” oznacza dzień dzisiejszy?

Pani Plattner otwarła drzwi. Więc wchodzi. Wewnątrz ruch już ustał.

Dobranoc, mówi Gawehn. Jutro po kościele wróci do miasta. Wieczorem: „*Kowal z Marienburga*”. Opera. Ma tam partię smyczkową.

Voigt zostanie dłużej, jutro obejrzy uroczystość. Którą, należałoby spytać, ale po co?

Wieczorem wróci parowcem, z prądem, to spokojna droga, jedynie przy odbijaniu, a potem znów po paru godzinach, przy przybijaniu, będzie się hałaśliwie kręciło koło. Voigt będzie siedział i czekał na światła, które śle zbliżając się miasto, aż się nakreśli filigran łuków mostowych i powolna falistość nad nimi nieba, wyłoniona z czerni dokoła.

Dobranoc, panie Gawehn, mówi Voigt. Jutro znów będzie dzień.

### ROZDZIAŁ III

Więc Poczce się śpieszyło. Jeszcze nie jest ciemno, gdy staje przed obejściem Gendrolisa i zastanawia się chwilę, co dzisiaj, przy sobocie, powie w Gendrolisowej kuchni, czyli do żony Gendrolisa, albo w Gendrolisowej izbie, czyli do ojca Tuty Gendrolis, albowiem Gendrolisowie są pobożni, a sobota dla pobożnych jest pobożnym dniem, więc cóż im powiedzieć? Dobry wieczór. Więc: *Laba va kara* ale całkiem zwięźle wymówione, jak to jest w zwyczaju w tej okolicy. Chociaż pan nauczyciel mógłby to powiedzieć tak poprawnie, jak powinien uczyć tego dzieci – co dzień w tygodniu, lecz nie w sobotę wieczorem.

Wjazd z drogi do obejścia prowadzi troszeczkę spadziście na dziedziniec. Ten jest niemal całkiem porośły zielenią rumianku polnego i babki, jedynie pośrodku, dokoła żurawia studziennego, wychodzi na wierzch wymyta ziemia, a tuż przy drewnianym oszalowaniu studni ciągnie się jasne pasemko piasku.

Jest to pora, kiedy kury idą spać jedna za drugą, po żerdziach w górę. Kogut poprzedza je, ale potem przeciska się jeszcze raz z powrotem i przepuściwszy swój ludek przed sobą, zamyka pochód. Indyki wzlatają na swoje drzewo sypialne po drugiej stronie stajni. Białe indyczki bez władcy, nie mają indora. Więc rozsiadają się szeroko w palczastym listowiu jesionu.

Naprzeciw wjazdu stoi dom mieszkalny. Gliniana budowla z nawisłą strzechą słomianą i niskimi oknami, bielona wapnem, jak stajnia i spichlerz. Drzwi i okna ujęte w laubzegowe obramowanie, drzwi przy

sobocie otwarte, próg wysypany białym piaskiem.

Poczka pochyla głowę pod framugą drzwi. Sień ciemna. Ale to tylko zwykłe parę krokowy do drzwi kuchennych, a tam, w kuchni, pali się zwykła lampa naftowa, ze szkiełkiem bez abażurka, wisi w zwykłym miejscu na ścianie, i dość o tym.

Na ławce u komina siedzi Oljana, mówiąca niewiele, lecz wartko, po niemiecku, starsza już panna z dwiema wyprawami ślubnymi, sześćdziesięcioma metrami utkanego przez siebie ręcznikowego płótna, wielkim zapasem przędzy wełnianej i mimo to nikłymi widokami na przyszłość. Siedzi i moczy nogi. I nie przywitawszy się, i bez zadawania błahych pytań: o ciężkich czasach, które nadejdą (jakby jeszcze nie nadeszły), i o wielkim pośpiechu, z jakim toczy się świat. Nalatom się, nalatom, jak ta wiedźma na miotle, co znaczy: że od rana do nocy jest na nogach, a teraz siedzi, zanurzywszy je we wrzątku prawie, a woda wygląda jak błoto, ale nie jest taka brudna od nóg, bo te splukała pod pompą, jeżeli nie u studni w podwórzu, tylko od kurzego łajna. Albowiem rozpuszcza się je w gorącej wodzie, co ma być dobre na zmęczenie nóg, na obrzmiałe, czyli spuchnięte stopy i na otarcia. Na czy przeciwko, to tutaj wszystko jedno.

Zatem: ów podejrzany pośpiech i w ogóle: czasy przyśpieszonego życia. Ale to wszystko dlatego, że Poczka tu stoi, zwalić raz dwa na stopy, niech tam zostanie, na dole, a w górze, w żywo gestem współopowiadających ramionach, a bardziej jeszcze w żywo współgrającej twarzy: coś zabawnego na wieczór, bo Oljana jest sama w domu, jeszcze się tego dowiemy, i wesoła – o ile to nie brzmi zbyt wulgarnie, bo nic złego nie miało oznaczać – wesoła jak świnia Staszulla. By tę historię pokrótce opowiedzieć:

Emerytowany listonosz Staszull, czyli pan Staszull, zrobił piwo, nie za dużo, nie za mało, tyle akurat, ile trzeba na jedno przedpołudnie

koszenia łąki, tedy w każdym razie – nie za mało. A gąszcz wywaru, piękny jęczmień, wyspał świni w koryto. No tak, a świnia mniem, mniem, zezała, i jak się nie zacznie! I tu i tam się tacza od ściany do ściany, kto wie, może by i na ściany, gdyby się dało, i chrząka, pokwikuje, i całkiem jak uchłany człowiek, omal się nie zesra z tej uciechy, a wciąż w kółeczko. A Staszull, więc pan Staszull, wszedł do chlewika, świnia go opierdnęła, więc on dalej po nóż. Bo teraz świnia wyciągnęła się na boku, oczy zamknęła i chrapie. A Staszull siedzi, jak ty teraz – więc wcale nie tak: jak pan, panie nauczycielu, teraz już wszystko jedno w środku opowiadania. Siedzi i siedzi na podmurówce koryta, zwierzę rżęzi, ale całkiem spokojnie, troszeczkę nieregularnie – siedzi z nożem w rękę. Żeby, nim zdechnie, od razu ją zakłuć. Siedzi do piątej rano, aż się świnia wyspała, wstała, nuż grymasić koło koryta. Bo puste było. Teraz Staszull też mógł już wstać, przeciągnął się, wrócił do izby, upadł na łóżko i zasnął z nożem w rękę, w rannych pantoflach.

Więc teraz, kiedy kto jest wesoły, to od tego czasu jest wesoły jak Staszullowa świnia, no i tyle.

A pozostali, tak, Gendrolisowie, są u Drescherów, poszli na zebranie czy też modlitwę. To jest to samo, a Oljana niechętnie tam chodzi, śpiewają i śpiewają same skowroneczki, *zipanszaju*, piszczadła, nazywa Oljana takich śpiewaków.

A więc do Drescherów.

Zupełnie prosta sprawa podczas tych godzin modlitwy: człowiek się przysiada. A teraz skończyli już śpiewy, zaczął przemawiać na stojąco Grinda do swoich wiernych, którzy siedzą.

Inna to mowa niż śpieszna relacja Oljany. Pauzy, lecz i im towarzyszą okrągłe ruchy ramienia, tylko powolniejsze, i mowa spokojna, nie zacinająca się, wygłaszana jak przystoi: ze stosownym namaszczeniem; mniej do tego potrzeba wprawy, dobrze szło od początku, natomiast

doświadczenie należało najpierw nagromadzić, zanim można było zacząć przemawiać.

A mowa jest zazwyczaj o grzechu; nad tym, co może człowiek słowami i czynem nabroić, nie ma się po co długo rozwodzić. Raczej od razu przejść do kar, wyroków, pokuty, gdy człowiekowi płyną z ust sceny, obrazy, kolory, parabole, niczym balsam – spływają jak na brodzie Aarona, psalm 135, werset drugi. A co do kar, ileż spraw do nich należy! Pani Drescher cierpi na ból zębów, czy i on się do kar zalicza? Ale za co, ach, za co? I tak dochodzi się do nauki o usprawiedliwieniu: człowiek, ten grzesznik, będzie się usprawiedliwiał, powie swojemu Bogu, który właściwie przejął to usprawiedliwianie się, że przecie nic nie uczynił, albo: jeżeli na przykład spojrzeć, co nabroili inni, a nic im się złego nie dzieje, przeciwnie! Tedy przechodzi się do następnej sprawy: do niewinnie cierpiących, czym ojciec po ojcowsku karze swoich, i na te próby, którym poddaje swe dzieci. Całkiem ustalona kolej rzeczy: od jęczącej hordy grzeszników do spokojnego świętych zgromadzenia, od zgrzytania zębów do alleluja. To budujące; człowiek czuje się sprawiedliwy bez wielkich ceregieli i spogląda cokolwiek z góry na grzeszników, którzy są tam na dworze.

Na pożegnanie ma Grinda jeszcze swój drukowany traktat: „*Wielkie cuda boże w minionych dniach*”, dwa lity pięćdziesiąt sztuka. Osiem stron, autor Friedrich Wilhelm Grinda, czeladnik piekarski w stanie spoczynku – tudzież drukowaną pocztówkę z wierszem, po osiemdziesiąt centów, również z pełnym nazwiskiem autora.

*Choć grzech jak żmija się wije,  
Bóg go w twym sercu zabije.*

I mimo że w poprzednim kazaniu wyszło się już poza podobny

punkt widzenia, jednak Grinda sprzeda jeszcze kilka pocztówek, ośmiostronicowy zeszycik ma już każdy, a pożegnalna modlitwa jest już sprawą pana domu, czyli Dreschera, *Ojcie Nasz* odmawiają wszyscy: *Ojcie Nasz* lub: *Téwe musu, kurs esi Dauguje*.

Rozchodzą się, Grinda zostaje tu, Poczka mówi dobranoc, ale nie wszystkim, Szilat się odwraca, Tuta jest już za drzwiami.

A na dworze stoi piękna cisza.

I jeszcze się nie ściemniło.

Wzrok sięga daleko nad łągami aż do gór na południu. Powietrze pachnie sianem i może kurzem, a wcale nie wieczorem, nie tak gładko, wcale nie wilgotno i jest może cokolwiek brązowawe, wcale nie tak niebieskawozielone, a już w ogóle nie białe.

Idzie się gościńcem w łąki, a góry się nie przybliżają, trwają w swym świetle i odrobinę jakby w kurzawie. Jedyne domki przed górami, sterczący spośród swego ogrodu, podchodzi bliżej, chociaż powoli. Zapalono tam już światło w tym domku, można poznać, że to nie słońce, owa czerwona poświata w szybach; słońce poszło już sobie dalej, w dół, w kierunku Kerkutwetów.

Ale nie trzeba iść w stronę domu, kiedy się już wie, można przecież zboczyć z drogi do tego domku wiodącej i na tym koniec: to litewski dom. Poczka go zna i Gendrolisowie znają go również, mieszkają tam dwie staruszki, ogród jest pełen krzewów różanych, a wzdłuż wszystkich czterech ścian, wzdłuż wszystkich bielonych ścian rosną wysokie malwy i kwitną z góry na dół, a raczej, jeśli mowa o malwach, od dołu do góry, a ich kwiaty, te skromne rozetki, nie stulają się nigdy, nic sobie nie robią z nocy.

Zatem skęcimy w prawo. Domek zostaje w tyle, nazywa się „Różana chata”, ma na kalenicy dwie wycięte w desce końskie głowy i zostaje za nami, i teraz już się naprawdę ściemniło.

Dziewczyna mówi: Jutro święto.

Idą po łące. Trochę rosy, ale łąka właśnie świeżo skoszona, więc nie ma wilgotnej trawy, ziemia wszystko wypija, a pierwsza rosa od dawna już zniknęła. Idą niewielkim łukiem ku posiadłości, która z wysokimi szopami i starym parkiem rozciąga się w mroku jak pasmo gór.

Rodzice nie pojadą, rzecz dziewczyna.

Ale my, mówi Poczka, prawda, my pojedziemy?

Chodź, mówi Poczka. Stanęli przy stogu siana. Poczka przekłada górne snopki. Zmrok zachował ciepło dnia, może nawet nieco zgęszczone. Nie chciałoby się gadać, a przecież, jakby mimowolnie, rozpoczyna opowiadanie.

Park jest bardzo blisko. Rozróżnia się poszczególne co wyższe drzewa. I słychać krzyki z jednego drzewa i odpowiadające im nawoływanie gdzieś od dołu, a teraz krzyki szybują dokoła koron drzew i słychać szum skrzydeł: pawie podfruwają i nawołują się. Poczka to zna, przez cały czerwiec słyszy to noc po nocy.

Zaczął opowiadać o młodości, to długa historia, wyższa szkoła, pedagogiczny zakład przygotowawczy.

Ojca sobie nie przypominam. Mieliśmy fotografię na serwantce. Wtedy miałem przyjaciela, czytaliśmy z nim wiersze, są takie zakątki w mieście, gdzie się lepiej czyta. Wiersze, z uczuciami, których się zazwyczaj nie wyznaje; stare kamienie pomagają troszeczkę, a najbardziej cień. Drzewa były tam wszędzie.

Poza tym w mieście było się i pozostało obcym. Domy przybudowane jeden do drugiego, idziesz wzdłuż murów, wąskie ulice. Przez miasto przepływa rzeka, rozgałęzienia a potem znowu się łączy. Wyspa, utworzona przez nią, dźwiga na sobie stary kościół z cegły i wysokie, wąskie domy w należytej odległości od kościoła, mającego jeszcze rząd starych lip przed swymi strzelistymi oknami. Na jednym z krańców wyspy jest jeszcze



czworoboczna wieżyca, a niedaleko niej łukowata brama, którą przez plac Pauperhaus idzie się do Collegium Albertinum. Tam z przyjacielem moim Sperberem dzieliłem pokój na koszt fundacji litewskiej, jadaliśmy, jak się to mówiło, we wspólnocie. Raz zemdlałem na ulicy z głodu, na ulicy Brodbänken, pan dr Kongehl zabrał mnie do swego domu, nie mogłem jeść w domu członka rady, obliczał zaraz fundusze stypendialne i byłoby się skrupiło na pan Ephorusie, Litwinie, że nie umie gospodarować obfitymi przecież środkami. Wtedy nie znałem cię jeszcze, Anno Regino.

Dziewczyna wtuliła się plecami w ciepło, które z siana przenika w jej barki.

Potem odnalazłem znowu tego Sperbera.

Był wtedy w Kunzen przez długie lata, to jest nad Zalewem Kurońskim, i jeszcze mnie stamtąd odwiedzał, takie zawsze prowadziliśmy rozmowy, jakbyśmy nadal siedzieli nad Persiusem w sali Litera C.: *O, curas hominum, o, quantum est in rebus inane.*

Co mówisz?

O, troski człowiecze, o, ileż marność w rzeczach. Byliśmy wówczas słuchaczami Schulza i Kypkego, a także Salteniusa. W mieście mówiono o nim, że zawarł pakt z diabłem. Myśmy w to nie wierzyli, zawsze chodził powoli, mówił cicho, miał całkiem białe włosy. Więc kiedyś jeden z nas po prostu spytał go, a on powiedział: „Tak”. Był wtedy chłopcem, napisał kartkę i położył ją na rozstaju: „Do szatana”.

Pawie wciąż jeszcze krzyczały. Teraz jeden odlatuje nad drzewami, widoczny na tle letniego nieba, można dostrzec jego powłóczysty tren; nieco niżej, między dwoma najwyższymi drzewami, leci drugi. A głosy kwok – krótkie, urywane, z dołu, z zarośli.

Co też ty mi opowiadasz, Chrystian, co ty mi opowiadasz?

Poczka wzdrygnął się.

Anno Regino, mówi, ale już jakby bez głosu, i zwraca się ku leżącej

obok niego dziewczynie, jakby ją nagle poznając. A dziewczyna podaje twarz ku jego twarzy.

Boże święty, cóżeś ty mi naopowiadał?

Skąd się tu wziąłem? Jestem tutaj, wiem o tym, gdzie byłem? I jakieś ty mnie nazwała przed chwilą, Chrystian?

Nie wiem, mówiłeś: Anna Regina.

Dziewczyna odsuwa z czoła promień włosów. Ale, nieprawdaż: Anna Regina to przecież żona twojego Duonelaitisa? I po chwili, nieco drżącymi wargami: Poczka.

Poczka trzyma ją za ramiona i odnajduje siebie w jej już nie przerażonej twarzy.

Byłeś troszeczkę nieobecny, teraz wróciłeś.

I chcę zostać, powiada Poczka. Tu zostać, teraz zostać.

Od parku dolatują krzyki pawi cichsze, milknące. Teraz odzywa się jeszcze raz kwoka, wyraźnie, dźwięcznie, i po małej chwilce odpowiada jej kogut. Potem szelest, słabnący, oddalający się ku drugiej stronie parku.

Księżyc bawi już dość długo za nielicznymi chmurkami. Teraz przenosi się zza jednej ku drugiej, na parę mgnień dwa żółtawobiałe obrzeżenia chmur kreślą się ostro na tle mroków, a potem cieńsza z chmur jaśnieje jak przydymione szkło.

Ten profesor i pan koncertmistrz piszą operę, mówi Poczka.

Jutro mi to opowiesz, odpowiada dziewczyna i za włosy przyciąga go do siebie.

Gadam i gadam, szepce Poczka z twarzą na jej ramieniu, wiem przecież, gdzie jestem. I nic więcej nie mówi.

Byłem jakby pod wodą. Wzywałem twego imienia.

Gdy zaczęły przemawiać ręce, co mówi w nas jeszcze? Coś przecież mówi dalej, bo słyszymy. Nie uchem już, wprawdzie. Jak więc słyszymy?

Zostań z nami, mowo bezustna. Zostań z nami, słuchu bez uszu.

Czy pawie przestały krzyzczyć?

Czy księżyc zaczął świecić?

Muszą to wiedzieć inni.

Nadchodzą oto od krańca wsi, minęli już stodołę plebanii. Głosy. Inne niż tutejsze, jesteśmy tu przecież na granicy dialektów, jak powiedział Voigt, więc już słychać: że to ludzie z Krakiszek. Parobcy i dziewczęta, niektórzy prowadzą rowery.

Droga do Schreitlaugken wznosi się nieco przed wsią, później znów się obniża.

Teraz wyszli na górę. Widać odświętne suknie kobiet, chusty i litewskie czepce, fartuchy ze wstążkami. Nadchodzi brzask.

Ten dzień zaczyna się pieśnią:

*Gdzie byłeś, Jonaszu, kędy wędrowałeś?*

Początek trwa jeszcze w swoim mroku i z tego mroku się odzywa: A gdzieżby? – troszeczkę grymaśnie. A od drogi rozbrzmiewa:

*Byłem u żebraków, w Schilleningen.*

Teraz pytają znów kobiece głosy:

*Gdzie byłeś, Jonaszu, kędy wędrowałeś?*

I mężczyźni odpowiadają:

*Byłem u żebraków, za Sallehnen.*

I zaraz potem wybuchają śmiechy, ale rzecz idzie dalej:

*Gdzie byłeś, Jonaszu, kędy wędrowałeś?*

*Byłem u bogaczy, byłem w Lasdehnen.*

*A co tam jadłeś, a co tam piłeś?*

*Piłem tam wino i jadłem szynkę.*

*A kto dał łożę, a gdzie tam spałeś?*

*W bogatej chacie, w barwnej pościeli.*

Taka jest pieśń, z którą idą ludzie z Krakiszek, na poły grana, z pogwarkami i przekomarzaniem. Właściwie pieśń zielarzy przed dniem św. Jana. Zbierają dziewannę, czermieniec, białą koniczynę, rumianek i przyniesioną z ogrodu rutę. Będą tym owijali obłupany pień – drzewo świętojańskie. Z tych ziół plecie się wieńce.

Poczka wstał i śpiewał razem z nimi:

*W bogatej chacie, w barwnej pościeli.*

Macha do nich ręką, a ludzie z Krakiszek odpowiadają machaniem, Tuta, zarumieniona po czoło, wybiera parę źdźbeł trawy z włosów i słyszy, że tamci mają nową piosenkę, którą wykrzykują ku nim obojgu:

*Będziemy jedli ziola,*

*Poranną rosę pili,*

*Aby nas tylko razem na zawsze zostawili.*

I już idą ludzie z Krakiszek.

Więc teraz wstawaj.

I ty też.

Ta noc przeminęła już. Ta noc.

Ach, jeszcze coś się działo tej nocy?

Trudno jest patrzeć wstecz.

Ktoś nadchodzi w górę parowem, prawym odgałęzieniem na końcu wsi, gdzie się zaczyna szosa. Stamtąd, którądy szli Voigt i Gawehn po

południu, ze swym rozhoworem i długimi namysły.

Patrzemy ku owemu nadchodzącemu.

Tak, jakbyś zajrzał do pieca:

Czarność. Która się porusza, drga, ponieważ gorące ściany poczęły spod warstwy popiołu oddawać wessany żar, kopeć i nicość. A dalej w tyle, pod popiołem drzewnym, głucha i połyskliwa czerwień, zmiennie rozblaskująca, przygasająca: czerwcowy księżyc, kawałek żaru, ale bez siły.

Z tej ciemności dolatuje na górę wrzask, jakby rozpędzony, i staje na drodze. Kto nie wierzy, nie będzie bawiony, kto zboża nie miele, nie będzie umączony. Kto nie wierzy, nie będzie zbawiony, kto zboża nie miele, nie będzie umączony i wciąż dalej, wciąż to samo, z parowu ku gorze, z pauzami na złapanie tchu, idąc czy stojąc, czy zataczając się – przerwane teraz przekleństwem. Z tego pieca, z popiołu, z czerwcowego księżycy, który zaczyna się osuwać w dół w parów: krzyk, i w górę teraz, na drogę, teraz przed zapadłą stodołę, gdzie się wawóz kończy, a droga zrównuje się z ulicą, gdzie się zaczyna bruk, gdzie dawniej była wieś.

Wieś przewędrowała na drugą stronę, na zachód, ku torowi kolei, i zabrała stąd wszystko, zostawiając tylko to, co rozbite. I nie zabrała wielkich drzew, czerwonych buków, które są teraz czarne. Zostawiła też duchy Francuzów, które tam stoją, w tym parowie, przy tej drodze, przy tym szlaku wojennym z owego czasu. Kiedy Napoleon ciągnął tędy, biały i niebieski, mały i o wartkiej mowie, imperator, w swej drodze na Borodino.

Tam, przy tych drzewach, jeszcze raz, teraz, krzyk.

Jeszcze widać to przecież: człapiący krok żołnierzy na szosie, gdzie droga idzie w górę i zatrzymuje się u celu, powoli mijają, już wychodzą ze wsi żołnierze. I jakby ciągnięte przez nich – nie na drogach, lecz na postronkach – końskie zaprzęgi, płytkie wozy na niskich kołach. Kierunek

północno-wschodni, tak, i nie ma już krzyku.

Stój pod drzewem, krzykaczu, stań tam ze swoim schlanym czasem, z przekleństwami na swoją dziwkę. Wszyscy to wiemy, nie trudno to wiedzieć! A teraz ruszaj dalej, wszystko zniknęło, konie i wlokące się wozy. Wie cała wieś, idźże ty do wsi.

Albo stój. Teraz spadają wrony, kraczące głosy, na twardych skrzydłach, z jednej pomroki w drugą, aż w dół, na szosę, na ludzkie ślady, na ślady kopyt, na koleiny może z tamtych czasów. Czarno udrapowane szkielety, przed którymi nic nie ujdzie.

Kto zboża nie miele, nie będzie umęczony. Człowiek nie pójdzie do wsi, wraca od swojej dziwki i nie wejdzie do swego domu, i wszystko zniknęło, ulica pusta, nikogo nie było.

Ale co się działo? Czy to się zaczęło dzisiaj, w gospodzie Plattnera? Czy kiedy? Wcześniej?

Tak, jużemy cię poznali, nie zaczynaj nawet gadać.

Siedziałeś tam, z tymi z Kłajpedy.

Ciebie też klepał przecież po ramieniu pan prokurator. I co miałeś właściwie załatwić?

Ach, prawda, Jozupaitisa.

Załatwić? Jozupaitisa?

Miałeś mu coś przekazać, ustnie, jakiś rozkaz, prawda?

Chyba o tym nie zapomniałeś? Czy nie chciałeś zapomnieć? U swojej dziwki?

No, więc ruszże się wreszcie, idź, już późno. Jozupaitis nie śpi jeszcze. Bo on czeka, dostał wiadomość. Oczekuje cię, krzykaczu. Ale teraz zachowuj się spokojnie.

Strach cię nie oblatuje?

Jozupaitis nie wie, kto przyjdzie. Jeden z naszych ludzi, powiedziano. Tedy wyjdzie ci na spotkanie. Na skraju lasu, przy *parewis*, tam będzie

na ciebie czekał, za wodopojem. Czy aby pamiętasz jeszcze, co masz mu powiedzieć?

Wyszedłeś już ze wsi. Zdaje mi się, że robi się chłodniej. Nie tak nagle, żeby aż spojrzeć w górę albo przystanąć, a więc nie ma wiatru, który by mógł powiać komuś w twarz lub w plecy, tylko: robi się chłodno, między łopatkami i w dół wzdłuż kręgosłupa przelatują ciareczki, jakby się dookoła człowieka pootwierały okna i drzwi, zrazu nieznacznie, ale potem rozrasta się czysty powiew dokoła i zamienia się w ciężkie, paralizujące powietrze, które cię teraz otacza, woda, ale nieważka, i zaczyna być jaśniej, niepostrzeżenie coraz jaśniej, rozplywająca się szarość łąnie do skroni, widzisz już nad sobą drzewa, dachy, sklepienia, z których spływa jak gdyby oddech, i widzisz otwartą przestrzeń, płaskie pastwiska, nad którymi rozpościera się jasność.

A tam już ciągnie się rzeka, jeszcze mroczna, zagrzebana w klinach nawijających jej się chaszczów, dopiero ze wzrostem światła zacznie bieleć i rozbłyśnie.

Szosa przecina ją żelaznym mostem na dwu kamiennych filarach, jak już przecięła parę sadzawek i rowów. Po lewej strojnie wylania się ta rzeka z mgieł dostrzegalnych teraz na tle czerni lasu, i sunie na południe, ku głównemu nurtowi, mijając miejsce, gdzie ktoś ma stać i czekać, i dalej w dół ku ujściu, skąd pochodzą wszystkie wichry w tym kraju. Tam, gdzie ma stać ów drugi i oczekiwać was obydwu, a nie jednego bez drugiego: Jozupaitisa i ciebie.

Jedno ze wzgórz wcześniej, na prawo od szosy, dokąd biegnie ścieżka i wspiąwszy się na nie przybywa pod drewnianą bramę, za którą zebrał się las cienkoramiennych krzyży, rzekłbyś do wymarszu w dół na szosę, wzgórze to otrząsnęło ze siebie wrony, co były na drzewach, niby zeszloroczne zeschłe listowie, i wysłało je stadami. Te dzielą się na grupy, na pojedynczych milczących zwiadowców, na latające tam i z powrotem

patrole łączności, które wykrakują swoje meldunki liczniejszym grupom czołówki, a wreszcie na sunącą wolniej zwartą masę. Śladem człowieka, który idzie w dole, szosą, nieco chwiejnie nadal i gadając do siebie, dąży przestworzem rozłopotana, wielorako rozczłonkowana armia, dąży dysonans przeciągłego krzyku, przerywany, ale wciąż na tej samej wysokości tonu, jednostajny, narastający. Teraz niżej, nad drzewami szosy, przeganiają go, poprzedzają, spadając coraz niżej, na wieś ciągnącą się pod lasem na lewo od szosy, tam gdzie wznosi się brzeg rzeki piaszczysty, nikle zarosły, gdzie właśnie budzą się ptaki, z krótkim wołaniem, do pierwszego lotu nad wodą. Litewskie ptaki.

Robi się jasno. Będziesz się musiał pośpieszyć. Przez most w prawo, do lasu. Mijając jedyną zagrodę.

Pies cię usłyszał, miota się na łańcuchu, odprowadza cię awanturą. Nic sobie z tego nie rób, biegnij, jeżeli chcesz. Tak, biegnij! Nie czekaj na drogę, od razu skrajem lasu.

Oto *parewis*. Rów. Czarny pas olch. Łąka. Z której wyrasta w stronę lasu nie porośnięte wzgórze. A za nim wodopój.

Sarny, które tam stały wznosząc głowy nad przybrzeżne opary, znikają, kiedy okrążasz wzgórze. Tam stoi Jozupaitis, oto jest.

Stoję tu od czterech godzin.

Dziś jeszcze będzie pan odstawiony do Niemiec. Bez sprzeciwów, tak mam panu powtórzyć.

Jak to do Niemiec, mówi Jozupaitis.

O nic nie pytać, powiada tamten. Rozpina kurtkę, zgrzał się przedtem.

Nie rozumiem tego, mówi Jozupaitis. Wszędzie teraz te bijatyki. Ja się do tego nie nadaję. Myślałem, że wstępuję do stowarzyszenia kulturalnego.

Do niemieckiego stowarzyszenia. Führer tak mówi.

Niech mi pan da spokój z pańskim führerem. Jozupaitis odwraca się i



chce wrócić do lasu. Czyżby to było wszystko?

Idziesz ze mną, Jozupaitis.

Co ten człowiek ma takiego w głowie? Jozupaitis na poły się odwrócił. Co pan powiedział?

Widzi pan, panie Jozupaitis, ja mam polecenie, nic więcej, tylko to, co panu powiedziałem.

Raz już uległeś, Jozupaitis, ulegniesz i po raz wtóry. Idziesz ku rzece za tym człowiekiem. Już go gdzieś raz widziałeś, prawda?

Idziesz z nim dalej. Aż ku ujściu. Ku ujściu Niemna. Ten człowiek powiedział: Jeżeli pan nie chce, ja tu nie mam nic do gadania, niech pan to powie panu Gottschalkowi.

Naprawdę idziesz dalej, Jozupaitis?

Brzegiem rzeki, nad którą jest już zupełnie jasno i zaczął się jaskółczy dzień, ze świrem i polotami prostymi jak strzała. Idziesz, doprawdy?

Czy ma ci przyjść na odsiecz koziorożec? Przecież są sianokosy, a gdzie przybiegnie i pobodzie stóg, tam wybuchnie pożar.

I nie ma na twojej drodze zewłoka czarnego psa? Bo by wtedy znów jeden diabeł skołał. Może ten, który cię oczekuje.

Na lewo, na ścieżynce, podwracane kawałki murawy. Nie widzisz? Przypomnij sobie, co się o tym mówi. Tak się diabeł chowa przed Perkunem. Zapomniałeś już?

Jeden jeszcze tylko sposób: zdjąć kurtkę, spojrzeć przez wywrócony rękaw. Wtedy go ujrzysz, szatana, wtedy go rozpoznasz i będziesz wiedział, jak się zamaskował, jak przyszedł do ciebie, z czyjego poduszczenia, w czym imieniu.

I o tym pozapominałeś, Jozupaitis?

Tam stoi. Poznajesz go teraz? Przy ujściu, jeszcze w półmroku, akurat przed pierwszym rzutem światła.

Nie chce pan, panie Jozupaitis? Chce pan odskoczyć? Teraz, panie

Jozupaitis?

No, to pana zlikwidujemy. Zmusza nas pan do tego.

Ale przecież nie jestem zdrajcą! – krzyczy Jozupaitis.

Milczeć! – mówi pijak przytrzymując go. Był zbyt niepewny, stwierdza diabeł.

„W tym miejscu łączenia się Jury, nazywanej Nawese, oraz Niemna o ówczesnej nazwie Mymmel – czytamy w kronice Johanna Lindenblatta o czynach Rycerzy Niemieckich między 1360 a 1417 rokiem – stała twierdza zakonu.”

Nikt o tym tutaj nie wie. Twierdza, a nic z niej nie zostało, ani kamienia.

Tedy nikt też nie będzie wiedział, gdzie zniknął Jozupaitis. Jest to miejsce, gdzie niemieckie czyny gubią swój ślad.

A zatem, teraz pod górę od rzeki, przez łąki, ze światłem, które przyniósł dzień: Niedziela, 24 czerwca 1936.

Łódka przeprowia się przez rzekę Jurę. Już przybiła do drugiego brzegu. Pada znak przez nurt Niemna.

Mężczyźni rozstają się. Jeden idzie przez Wallenthal, drugi przez Schillehnen, cel obu jest ten sam.

Dziś w południe w Bittehenen.

## ROZDZIAŁ IV

Szkoda, wielka szkoda.

Ależ, panie Voigt, broni się Gawehn.

Tak rzadko można pana było w ostatnich latach usłyszeć jako solistę. Szkoda. Zrywam się z łóżka, bo dzwony dzwonią, znajduję nawet skarpetki i krawat, ale mimo całego pośpiechu zdążyłem jeszcze tylko na pół kazania, a na pana już nie. Co pan grał?

No, cóżby? *Sonatę solową C-dur* Bacha, pierwszą część. Tam ta tam ta tam ta, tam ta tam ta tam ta, a potem septymą dalej.

Voigt już wie.

To zaraz na początku. A jeszcze przed kazaniem, na życzenie, jak zwykle, *Largo*.

Na wszystkie zdarzenia życia: *Largo* raz, to dobrze robi. Jak panu się podobało kazanie?

Jak wszędzie, ale płynne.

A aluzja do dzisiejszej uroczystości? Z tekstem na Zielone Świąta: Wielkie czyny w różnych językach, trochę przyśmiałe.

Upomnienie, które przystoi duszpasterzowi, jak sądzę.

Ale nie wszyscy tego chętnie wysłuchali, siedziałem z tyłu, więc mogłem obserwować.

Czyż mógł być tyle zauważyć ten profesor Voigt? Absorbował go obraz na prawej ścianie bocznej, u nasady empory. Najwidoczniej stary, szesnasty wiek, trudno się chyba mylić, i zupełnie obcy na tle całego otoczenia. Pochodzący z innego kościoła, bo ten należał chyba do

kościółów salzburskich, tych surowych budowli systemu salowego, jakie pobudowali sobie uchodźcy austriaccy, gdy po długim okresie zarazy wsie znowu budziły się do życia. Epitafium, drewniana tablica w bogato rzeźbionej, mocno się łuszczącej złotej ramie. Dla niejakiego Bartella Scriniusa, którego głowa wyobrażona jest w dolnej części, podczas gdy góra ukazuje ukoronowane tablice przykazań. Pole środkowe, ofiara w świątyni, było najdłużej przedmiotem uwagi Voigta. Gdy rozpoznawalna jedynie u krawędzi obrazu nawa świątyni otwarta była na tylnym planie na całą szerokość i widać było nadchodzącą po białej drodze gromadę chłopstwa, z drągami i widłami, za krzyżem z żerdzi, niesionym przez rudego mężczyznę.

To przecież słyhać, to przecież śpiewa z tego obrazu: Pragniemy zesłania Ducha Świętego. A na spotkanie im – w prawej połowie obrazu – konny z białą brodą, na czele rycerzy i pancernych, niezawodnie Albertus, dawny Wielki Mistrz, ksiązę pruski.

Zatem ów rudy mógł być młynarzem z Kaymen, tym Kacprem, którego wbito na pal po Samlandzkim powstaniu w 1525 roku, kiedy osiem tysięcy ludzi na Polu Lauth zaufało zapewnieniom księcia i oddało się dobrowolnie w ręce oskarżanej przez siebie szlachty w Królewcu, w Quednau i w Kaymen. A więc już kiedyś stali wszyscy razem, niemieccy osiedleńcy z uciśnionymi pruskimi tubylcami i ludźmi z Szamajtów na zalewie północnym.

Voigt nie mógł się uwolnić od tego obrazu.

To było właśnie to, co nie udało się nigdy jedynie na czas krótki i jedynie wskutek wspólnej straszliwej niedoli. Czy nie ma innych dróg?

Voigt odpiera cisnące się myśli innymi rozważaniami. Ale jak się to mogło udać? Skargi, petycje, upomnienia, wszystko na nic? Gorzkie słowa wiejskiego plebana – na nic? Wszystkie słowa, mające paść w tej operze?

Idą teraz drogą ku dworcowi. Voigt odprowadza Gawehna na pociąg. Gawehn mówi:

Pan Poczka był tak uprzejmy, że dał mi coś niecoś wczoraj, a ja do rana trochę ponotowałem. Część zespołowa, osiem głosów plus orkiestra, pańska lista osób chyba wystarczy? Mam na myśli scenę weselną; Duonelaitis wśród swoich postaci. Miałyby ona wówczas największą wagę, co chyba jest po myśli pana.

Ostry dialog ze starostą –

Byłby wcześniej. Ale może – znów nowy pomysł. Gawehn przystanął – może nawet lepiej: żeby potem. Bo tu by w każdym razie musiało być coś mocnego, *unisono* wszystkich gości weselnych.

Widzi pan, rzecze Voigt zadowolony.

Tak, panie Voigt, jadę do domu, ręka swędzi, wzięło mnie to.

Widzi pan, widzi pan.

A teraz Voigt każe się zawieźć do Bittehenen samochodem. Umówił się tak z piekarzem Eywillem, który czasami kogoś wozi. Kapelus, laska, karteczki, sprawdził jeszcze raz, ma wszystko.

No to możemy jechać, rzekł Eywill. I po pół godzinie żwirowaną szosą, minąwszy Polompen i Usbitschen, trochę gliny, potem piach, piaszczyste łągi, zarośla, mnóstwo liściastych drzew: stacja krańcowa. Eywill wyraża się po miejsku.

Niczego pan nie zapomniał, profesorze?

Ma piekarz robotę. Teraz z powrotem, a po południu przywiezie jeszcze jeden ładunek bułek i kukielek – większych i okrąglejszych niż bułki. Interes to interes.

Czy mam pana wieczorem zabrać z powrotem, panie profesorze?

Nie, bardzo panu dziękuję, panie Eywill, pojedę parowcem.

Zatem Eywill będzie wracał pusto.

Ale właśnie w tej chwili wiejska droga rozbrzmiewa krzykiem:

O, idą już, idą! I słyhać już też, kto idzie tą drogą od Bardehnen: muzyka. Trąbka, puzon i tuba. A wszystkie dzieci z Bittehnen i inne, poprzywożone tu na drabiniastych wozach, w landach i wasągach, także muzykantom na spotkanie.

Oto idą, idą, dmąc potężnie wobec tak licznej publiczności i wcale nie ustają, i otoczeni całym stadem dzieciarni i całą tą wrzawą, klaskaniem wkraczą do wsi, aż do gospody z ogródkiem Wythego. I tam dopiero wreszcie koniec.

Kankelat śpiesznie podąży na spotkanie Voigtowi.

Pan już tutaj, panie profesorze?

Odprowadziłem jeszcze na dworzec pana Gawehna.

Wspaniale udało się tam w kościele, jak on świetnie grał! Kankelat jest, jak to się mówi, przejęty do głębi. Artysta! Kankelat zna się chyba na tym, sam kalikuje, więc towarzyszył dziś rano Gawehnowi.

Czysto, jak po maśle, powiadam panu, panie profesorze, żadnego efekciarstwa, powiadam panu.

Niestety, spóźniłem się, mówi Voigt, zasnęłam, wczoraj późno poszedłem w piernaty.

Tak, tak, mówi Kankelat. Wiek, wiek.

Lubi się skarżyć. Voigt nie lubi, Voigt mówi: No, na to mamy chyba jeszcze czas, zdrowy człowiek, jak myślę, musi się wyspać.

Z pewnością, potwierdza Kankelat, ale szkoda, że pan tego nie słyszał.

A jak wyszedł Bach, na początku?

Wie pan, odrzecz Kankelat, nie jestem takim entuzjastą. W pewnej mierze jest to oczywiście jakaś świętość, mam na myśli Bacha, ale gdyby mnie pan spytał o zdanie, to można go grać jak anioła, ale to wieczne powtarzanie tam i z powrotem, słucho się tego jak piły.

Ale to przecież dosyć długa fraza, zastrzega się Voigt.

A jednak. Kankelat woli pozostać przy swoim zdaniu. Przecież

niektórzy też powoli piłują. Tędy się wchodzi, panie profesorze, dodaje. Mimo że niepodobna doprawdy przeoczyć drzwi wejściowych do gospody: trzy stopnie i obie połowy drzwi na oścież.

Cóż za mnóstwo ludzi!

Gospoda, jak to od razu widać, pełna. Voigt spogląda raz jeszcze na rozległy plac, gdzie stanęły pojazdy, i przedłużającą go łąkę: ludzi a ludzi! Kogo tu nie ma na tym spotkaniu, jak bywa na końskim targu tylko: Aszmutatowie i Urmonaitisowie, Brüsewitzowie ze wszystkimi córkami, Wallatowie, dziewięciu chłopca.

Czy nie będę przeszkadzał? – Voigt z pewnymi oporami pozwala się zaprosić do stołu Kankelata.

Ależ nie, ależ nie, panie profesorze! Hermina Kankelatowa z przejęcia dygnęła i całkiem poczerwieniała na twarzy, ta okrągła osoba, ale ładnie jej z tym, niech sobie! – i zaraz wkręca się znów tyłem na swoje krzesło.

Tutaj, panie profesorze. Kankelat wciska profesora na własne miejsce. Już ja sobie coś znajduję. Jak pan się zapatruje na coś odświeżającego, panie profesorze?

Twarożek ze śmietaną, mówi Voigt.

Twarożek ze śmietaną dla pana profesora! – woła Kankelat do pani Wythe, a pani Wythe woła to dalej, do kuchni. Ale dużą porcję!

Zatem biały ser czy twaróg, czy jak to się jeszcze nazywa gdzie indziej czy w innych stronach, polany śmietaną, ale obficie. Odrobina soli i kminku.

To przecież ci sami panowie co wczoraj, mówi Voigt cicho do Kankelata, skinąwszy raz krótko w stronę kąta, gdzie Neumann, uniósłszy się na poły z miejsca, próbuje od dłuższego czasu ściągnąć uwagę Voigta ostantacyjnie grzecznym ukłonem.

Nie mogę, niestety, wydostać się stąd, panie profesorze, widzi pan, jaki ścisk.

Niech się pan nie trudzi. Voigt odburknął to niemal. Na twarzy Kankelata maluje się znaczący wyraz. Czyżby się ci ludzie nie podobali profesorowi?

Pani Kankelatowa nie śmie okazać, jak bardzo odpowiada jej ta niechęć Voigta, to jak balsam na duszę, balsamik na duszyczkę.

Takie nadęte pęcherze!

Voigt dostał swój twaróg. Trzeba podjąć sobie najpierw.

Z tylnego pokoju, uwaga! wytacza się Warszoks, zupełnie pijany. Za nim ten Gottschalk z Kulturverein. Stul pysk, ty! – woła. Neumann ze swymi trzema drabami zrywa się momentalnie, przeciska się ze swego kąta, nagle zdobył się na to.

Ale Warszoks zdążył już wykrzyknąć: On nie chciał do Niemiec, uśmieć się można, wszyscy chcemy przecież do Niemiec, wszyscy, jak nas stworzyli –

Neumann staje przed nim. Milczeć!

Warszoks sterczy jak gwóźdź w desce: bez ruchu; nagle potrafi stać. Teraz dwóch ludzi bierze go za ramiona. *Raus!* – mówi Neumann.

Przecież mówię... – tego głosu nikt nie zna u Warszoksa: tego łamiącego się głosu, jeszcze tylko parę sylab, z chrapliwym wydechem. Zawsze mówiłem przecież: z powrotem do Reichu.

*Raus!*

Neumann stoi, dopóki tamci nie znajdą się za drzwiami.

Siada ze swoim trzecim kompanem w kącie. Niemiła historia.

Na dworze kobiety z patriotycznego związku i ich „Dzieci Luizy” rozstawiły stoły do kawy. Na dworze rozsiadła się kapela, na wzgóreczku, dokoła skrzyni z butelkami piwa. Na dworze zbierają się spragnieni kawy i widzowie, mieszkańcy Bittehen i ich dzieci.

Ale i w stronę góry ciągnie dużo luda. Wszystko, co kolorowe, stroje, białe bluzki, haftowane kaftaniki, chusty, czepce. Voigt najchętniej zaraz



by tam poszedł.

No, ale chyba wypije pan jeszcze z nami kawę, panie profesorze!

No, dobrze, więc kawa. Po prawej stronie Kankelat, po lewej królowa Luiza z mężem, a więc handlarz bydła Fröhlich z małżonką. I rozmowa, którą jeszcze można wytrzymać: Śliczna pogoda dzisiaj i: Nareszcie znowu!, i: Co roku, i: Tyle ludzi, i: Ale w mieście jest jednak o tyle przyjemniej!

Panie z Luisenbundu kręcą się z dzbankami kawy, z ciastem na tacach.

Długie stoły, biało nakryte, na kozłach. Ławy z desek na beczkach. Świeże kwiaty w garnkach i dzbankach. Dla dzieci mleko z wiadra. Ale one chcą lemoniady. Więc uspokajanie, upomnienia, krzyki.

I dalej krzyki, nawet gdy dorośli uciszyl się nagle jak na komendę i siadają porządnie. Bo nadleśniczy Symonaitis prowadzi teraz ku stołom właściciela dóbr rycerskich, pana von Draschke, z małżonką i dwiema jasnowłosymi córkami, uczesanymi w warkoczce. Krótkie przywitanie z prokuratorem Neumannem, który podszedł z wolna. Ucałowanie rączek pań. Miałem niedawno zaszczyt, panie von Draschke.

Draschke z palcem wskazującym lewej ręki w uchu:

Aha, tak, Berliner Hof. Długa mowa pana prezydenta landtagu.

Nie będzie już długo przemawiał, rzecze Neumann.

Zastąpimy go sami, co? Draschke wyjmuje palec z ucha i grozi nim temu panu prokuratorowi, po czym czyści palce starannie, cały pochłonięty tą czynnością.

I stoi tak po prostu, aż wprawia go w ruch szturchaniec w krzyże. Pani dziedziczka uczyniła to całkiem niewymuszenie, podczas gdy córki rozglądają się swobodnie za męską młodzieżą. Niewiele tego.

Panie profesorze! Kamkelat pragnąłby bardzo pokazać się ze swym gościem, ale Voigt jest zniecierpliwiony, życzy sobie wreszcie pójść na wzgórze, ciągnie go tam bardzo.

I właśnie teraz Kankelat nie może mu nawet zaproponować swego towarzystwa, musi tu zostać, pan von Draschke wypowie parę słów powitalnych: Panie i panowie, przedmurze niemieckości, zawsze tak dalej, niezłomna wierność. O, w tym guście.

Brak jeszcze: Vivat Najjaśniejszy Pan! Neumann odmaszerowuje z wyraźnym szyderstwem na ustach. Obydwoj kompani odnaleźli się tymczasem przy końcu stołu. Chudy melduje: Posadziliśmy go w lesie, do ochłonięcia. Śpi.

Gottschalk, do mnie, mówi Neumann. Spotkamy się przy samochodzie.

Gottschalk przychodzi.

Wygadałeś się, Gottschalk?

Ani słowa. Nie rozumiem tego.

Więc kto?

Nie padło żadne nazwisko, mówi Gottschalk.

Czyżby? Jak się nazywa ten człowiek?

Warszoks. Chłop z Absteinen.

Zatroszczę się o niego.

Więc niech się pan zatroszczy, panie Gottschalk. Jazda do lasu. Tam się już Warszoks obudził. A kto przy nim siedzi? Tamten uchłany, tamten krzykacz, ma w rękę na wpół opróżnioną butelkę.

Czyżby? Gottschalk ma jeszcze w uszach ton Neumanna. Poza tym czuje się pewniejszy przy tych ludziach. Zostawmy więc tych panów samych, pewnie mają sobie coś do powiedzenia.

Idźmy za Voigtem, od skraju lasu łąką na przełaj. Właśnie muzyka zaczyna grać znowu: „Wolność, co się zowie!”

Jakież przerażające dźwięki dobywa dziadzio Lamms ze swej trąby! Zazwyczaj pozwala tonom płasnąć, teraz dmie przeciągle, zmusza puzon do wolniejszego tempa, a trąbka po prostu co chwila wysiada. Płuca mu osłabły, czy co?

Voigt zmierza prościutko ku górze, ale potem wybiera okreśną drogę. Po wstaniu od stołu spytał jedno z dzieci o wykopki. Więc mógłby najpierw tam na krótko zajrzeć.

Tamtędy w dół, za czarnymi bzami.

Więc tam, a później w prawo, to wszystko nie są duże odległości.

Więc tutaj. Widać przecież, gdzie były doły. Zasypane, ale piasek się zapada, płytkie wgłębienia, w których stoi woda podskórna.

A opodal, gdzie znów zaczyna się trawa, siedzi Poczka i już zauważył Voigta, i zostawia Tutę, która się już także podniosła, i podchodzi do profesora.

Pan już tu, panie profesorze?

Mam już część patriotyczną za sobą; kawę i uchlanych, i przemówienie. Teraz chciałbym pójść na wzgórze.

Dosyć marnie tam wygląda.

Dlaczego marnie, panie Poczka? Muszę to zobaczyć, dlatego przecież przyjechałem.

To nie żadna przyjemność, panie profesorze.

Poczka wygląda nieco zażenowany.

Ależ Poczka, widziałem przedtem młodzież, jak szła na górę, cudny widok, te kolory.

Ach, panie profesorze. Przedstawianie, ale to wstrząsający dramat: „*Vytautas Didysis*”. Wielki książę, Didkunigaiksztis, wciąż drepcący po kamieniu, tego się przecież nie robi, i dokoła niego boginki Laime w białych koszulach. A wodnice na niebiesko. I Perkunas obiecuje mu Prusy i Polskę, i Nowogród, i Kijów za jednym zamachem, i Baingputys, morza Bałtyckie i Czarne. A Pajibelis, obwieszony czarnymi całunami, chodzi cały czas z tyłu tam i z powrotem i krzyczy: *Tokia béda*, nieszczęście, nieszczęście, i: *Asaru pakalne*, na tym padole łąz.

Czemu jako bóg zagłady nie miałyby mówić o padole łąz i niedoli,

panie Poczka?

Nie, nie miałem tego na myśli.

Wiem. Voigt grzebie łaską w piachu. A więc to jest to miejsce, prawda? I tutaj ostatni raz kopano?

Poczka musi się roześmiać. Rozmowa trwała już za długo dla Tuty, podchodzi więc po prostu i po prostu podaje Voigtowi rękę. I wie lepiej niż Poczka, co się tu działo zeszłego lata i co się w ogóle działo na tym miejscu. Tedy ujmujemy w dwu punktach jej szczegółowe relacje: po pierwsze i po drugie.

1) Miała tu być zakopana napoleońska kasa wojenna, wtedy, podczas odwrotu. I w wiele lat później zjawił się oficer francuski, ale już bardzo stary i całkiem ślepy, i miał z sobą rysunek. Ale wszystko się tymczasem zmieniło, wszystko zarosło drzewami i krzewami. Kopano w trzech miejscach, ale nie natrafiono na właściwe.

2) Historia urwała się wówczas, ale po trzydziestu latach znaleźli się nowi interesanci, tym razem byli wśród nich ludzie z Tylży. I znowu nic. I odtąd powtarzało się tak co dziesięć, piętnaście lat, coraz w innych miejscach, a niekiedy także i w dawnych, tylko o półtora metra głębiej. A w zeszłym roku to już było istne przedsięwzięcie. Kupa ludzi i miejsce odgrodzone, i wszystko w tajemnicy. Zawarli prawdziwą umowę z rządem w Kownie. No, i jednakże nic.

Chciałoby się dorzucić punkt trzeci: Na pewno przyjdą znowu. Ale wówczas przekopią całe Bittehenen. Śmieszne rzeczy: musi się przecież znaleźć. A niektórzy powiadają: tam dawno już nie ma tego. Wydobyto za pierwszym razem, tylko ostrożniutko, w nocy, i w nogi.

Bardzo dziękuję, panienko, mówi Voigt, ale teraz muszę już jednak iść na górę. Poza tym, panie Poczka, Gawehn zapalił się szalenie, ma w głowie co najmniej trzy wielkie numery muzyczne, przygotowujemy się na niespodziankę.

Z tymi słowy profesor Voigt odchodzi.

I dociera na szczyt góry. Było to trochę męczące. Więc najpierw siada. Na skraju polany. Przedstawienie odbywa się i tak dostatecznie głośno. Mimo że bynajmniej nie tak pompatycznie, jak opisywał Poczka.

W każdym razie już nie w tej chwili. Albowiem teraz właśnie armia z litewskich Szamajtów obozuje pod „Łukowem na Wołyniu” i w smętnych pieśniach wspomina daleką ojczyznę. Bo już od tak dawna wędrują po obcych krajach, podczas gdy Vytautas-Witold oczekuje królewskiej korony, która jest już w drodze, i w tym oczekiwaniu umiera – osiemdziesięcioletni – 27 października 1430 roku.

Teraz więc pienia żałobne i znowu Laimy i wodnice w swoich koszulach oraz bóg zmarłych – Pikollos, który go zaprowadzi tam, dokąd odejść nie chciał.

Pieśni są piękne, skargi bez większego diapazonu, zwyczajnie interwały harmoniczne nie wymagające akompaniamentu – dźwięki mogą wlatywać wolno, szybować w powietrzu jak wiatr i deszcz.

Niektórych Voigt jeszcze nigdy nie słyszał. Wstaje i trwa stojąc, oparty o drzewo. I podczas gdy przedstawienie kończy się wśród głębokiego przejścia, wzdychania i pociągania nosami, a Voigt usiłuje zapamiętać ostatnią melodię, nucąc ją z cicha, podchodzi do niego z boku dwóch wysokich panów. I kiedy pełna napięcia pauza ustępuje miejsca entuzjastycznym oklaskom, a siedzący zrywają się, by rozprostować zeszywniałe nogi, zaś ci, którzy z wrażenia słuchali stojąc, siadają, by odpocząć, starszy z tych dwu, brodaty, zwraca się do profesora Voigta:

Pan tutaj, panie kolego?

Voigt odwraca się gwałtownie.

Pan Storost, rzecz uradowany. A dalej: Słuchałem z największym zainteresowaniem! Pańskie nowe dzieło, o ile mi się zdaje?

To zależy, odpowiada profesor Storost. Mocno skrócone i nader

swobodnie opracowane, myślałem raczej o dramacie dziejowym niż o misterium.

Ale to wywiera bardzo silne wrażenie, panie kolego, bardzo silne!

Cieszy mnie to. Pan redaktor Saluga – chciałbym od razu przedstawić panu redaktora – troszczył się o inscenizację, jak zresztą i o wersję sceniczną.

Voigt nie musi szukać w pamięci swego litewskiego języka.

Pan Saluga, jeśli się nie mylę, z Szawli, nieprawdaż? Znam niektóre z artykułów pana w „*Keleivis*”.

„*Keleivis*” jest, mówiąc mimochodem, gazetą litewską; w tłumaczeniu znaczy to: „*Wędrowiec*”. Istnieje dziesiątki lat.

Panowie zaczną więc teraz pogawędkę. Voigt ciągle po litewsku, Saluga arcywarką niemiecką, Storost przeskakuje z jednego języka na drugi w miarę potrzeby. Voigt będzie miał coś do powiedzenia o swojej operze i stanie wobec pytań, na które w tym momencie niewiele można odpowiedzieć. Co go w tej rozmowie nie opuszcza, to – na razie mocna jeszcze – nadzieja. Ale czy się utrzyma?

Dziś jeszcze tak. Ale jak długo?

Saluga powiada: Ależ od dawna już tak nie jest, panie profesorze.

Voigt czuje się nieco urażony. Nie życzy sobie przecież pouczeń. Storost milczy.

Wiem, panie profesorze, pan ma na myśli próby królewieckie i tyłzyckie z owych czasów: parę dziesięcioleci i jeszcze trochę dłużej. Kreuzfeld, Reza, Passarge, Salopiata, fundacje, stowarzyszenia, seminarium litewskie. Wyłącznie lingwiści: Ostermeyer, Schleicher, Nesselmann, Bezzerberger, przedtem gramatyka Daniela Kleina, pomijam teraz Kurszata, przecież to wszystko minęło.

Doprawdy pan tak myśli? I Kurszat – wyłącznie lingwistą? Albo Daniel Klein? Do tego Ostermeyera z roku 1793, „*Pierwsza Litewska*

*Historia Pieśni*”: uczony, wierzący i opiekujący się troskliwie wszystkimi gminami litewskimi, ale do końca życia bardzo dręczony człowiek, którego pracę i wierność nagrodzono niewdzięcznością. Nie ma on chyba równego sobie, ku wieczystej hańbie zawistników i prześladowców. Tyle co do Kleina. A inni: Teophil Schultz, Christoph Sappun, Johann Hurtelius, Lehman w Kłajpedzie i Friedrich, i Christoph Pratorius? Tyle trudu!

Dobrze, niewłaściwie się wyraziłem, nie chcę nic umniejszać, mam najgłębszy szacunek, zawdzięczamy bardzo wiele zagranicznym filologom, bardzo wiele, właśnie niemieckim. Ale teraz, co z tego teraz zostało? Rodzaj muzeum etnograficznego – i to wymyślonego.

Mam przekonanie, rzekł spokojnie Voigt, że znajduję się w nurcie dobrej tradycji.

Tak też jest, panie profesorze. Pan profesor Storost także. Ale czy jutro już nie będzie pan osamotniony? Wszystko to była przecież raczej romantyka i raczej już przeminęła? Dlatego że od paru lat istnieje państwo litewskie? Więc podopieczny zrezygnował z opieki? Albo może ma się to zupełnie inaczej, czy nie szło o integrację Litwy, a zatem o wymazanie jej z historii? To państwo, takie jak jest obecnie, nie spełni naszych nadziei, od początku nie wyglądało na to: jest stworzone zanadto według starych wzorów. A teraz – ci ludzie Waldemarasa w rządzie!

Może ten pan Saluga to komunista, myśli Voigt, Gawehn może by się nawet troszeczkę przeląkł. A głośno mówi: Ta opera, nad której tekstem pracuję, ma za temat życie Kristijonasa Duonelaitisa.

Pan profesor Storost wspominał mi już o tym i zastanawiam się nie dochodząc do żadnych rezultatów. Uważam temat za piękny i pełen uroku, musimy panu wszyscy być za to wdzięczni, ale co pan zamierza osiągnąć?

Operę, odparł Voigt.

O Duonelaitisie, stwierdza z naciskiem Saluga.

Natchnęło mnie – Voigt mówi wolno, jakby musiał na nowo rozważyć słowa – natchnęło mnie: życie, nie wiem, czy może być ono traktowane jako przykład, chyba nie, prawdopodobnie nie; życie proboszcza wiejskiego, pruska wieś litewskojęzyczna, męzczyzna kształcony po niemiecku, który posługuje się mową, mogącą wtedy jedynie zmniejszyć zasięg jego dzieł. Czy też myślał, mógł myśleć, że będą go czytali jego chłopi, bo któż by inny?

Dla nich wygłaszał kazania, bardzo dosadne – mówi Storost.

Tak, z pewnością. Voigt nie powiedział jeszcze wszystkiego. – Chciałbym wiedzieć, mówi się zawsze, że zrezygnował, że się wycofał w chorobę, że się usunął z żalem. Ale przecież tak znowu być nie mogło. Żeby czystość obyczajów znikła wraz z wdzieraniem się Niemców, żeby słowo: „niemiecki” złożone było z kradzieży i przekleństwa: – „woketis”, z „wogt” i „keikt”, zna pan te miejsca u niego. To tak, jak moja matka. Mówiła: Jeżeli ci się przyśni Niemiec, znajdziesz się w złym towarzystwie.

A więc wróg Niemców, tak pan sądzi, panie profesorze?

Nie, tak nie sądzę. – Voigt czuje, że nie dorósł do tego dziennikarskiego tempa rozmowy.

Więc coś innego?

Teraz Saluga staje się wręcz nieco ironiczny, ale dlaczego? Bo dla niego za wolne tempo.

Tak – powiada Voigt z największą rozwagą. Miał na myśli sprawę rządów.

Tak całkiem po prostu, całkiem powoli wyszły te słowa z ust Voigta, niemal zaskakujące dla wszystkich trzech.

I pan chce dać temu wyraz w swojej operze? Storost jest wstrząśnięty. Powinien by uścisnąć swego kolegę, ale tak się zadziwił, że po prostu o tym zapomniał. Stoi zapomniawszy języka w gębie.

A może coś mu też przeszkadza, jeszcze nie wie, co.



Voigt odpowiedział już: Tak, tak sędzę.

A po chwili: Byłoby dla mnie bardzo cenne, gdyby pan zechciał udzielić mi swojej pomocy, panie Storost. I pan również, młody przyjacielu.

Rozmowa. Ale z samych pauz. Cóż w ogóle powiedziano?

Wszystko opiera się na nadziei. Opera Voigtowa tak, mam na myśli wszystko, co się z nią wiąże: piękne ensemble Gawehna, duety, monologi, *unisona*.

Saluga idzie za tamtymi dwoma ku spadzistemu brzegowi. Stoją na górze, nad urwiskiem, i patrzą na wodę, w stronę Kapellenberg i na błonia na drugim brzegu.

Parowiec w dole odbywa swój ostatni dzisiaj, mozolny rejs w górę rzeki, ku Ragnecie i dalej aż do Signalberg. Zaraz potem, w Untereisseln, przybije do brzegu i w drodze powrotnej zabierze Storosta i Voigta, którzy będą czekali na przystani na dole, pogrążeni w swoich myślach.

*Każdy ranek przebywa*

*swą drogę na ciasnej Ziemi powie Voigt, a potem już niewiele  
doda.*

A więc ta opera. Kto ją będzie chciał wystawić? Albo mógł wystawić – teraz, w Niemczech? A jak by to było na Litwie? Bardzo podobnie wygląda tu i tam.

Rozmyślania Storosta.

Na zewnątrz będzie wysuwana jedna pretensja po drugiej. A w skrytości może konspiracja. Niekiedy już na to wygląda.

Storost nie zauważa prawie zgiełku, jaki go otacza. Chociaż witają go ze wszystkich stron, jako znaną i poważaną osobistość.

Ale nasza trójka wmiesza się trochę między ludzi, dla wielu święto zaczyna się właściwie dopiero teraz. Pieśni i tańce, i ćwiarteczka

*meszkinis*, czyli krupniku. Zresztą i monopolówka, zwana po prostu *puske*, ale naprawdę *degtinis*. Albo i więcej niż ćwiarteczka.

Storost powie jeszcze coś niecoś. Przed południem odwiedził kogoś tutaj w okolicy. Powitał kogoś, ale tamten nie mógł mu już odpowiedzieć jak zwykle.

Jednak, jeżeli się dobrze zastanowić, to właściwie odpowiedział; miał na myśli właśnie jego, Storosta, o tym pomówimy teraz albo niech Storost mówi sam, jak to było.

## ROZDZIAŁ V

Co się dzieje z tym czerwcem?

Czarne bzy cuchną jak nie wiadomo co. Także te nieszczęsne blade krzaki, z różowymi baldaszkami jak pianka cukrowa, zaczynają kwitnąć.

Człowiek pada na wznak w trawę jak długi. Niech wszystko wstrzyma swój bieg, niech stanie w miejscu tam, gdzie jest. Człowiek mówi sobie: Nie żyję. I układa ręce pod głowę.

A w tym ostatnim tygodniu czerwca zaczynają się powiewy, zimne, a przecie nagrzane, źle skrywające burzę, w oddali już grzmi. Lecz burza nie przedziera się co dzień przez dwie rzeki i wielki bór, a w każdym razie nie bez wysiłku, dla rozrywki; musi mieć dogodniejsze warunki.

Tak, nareszcie koniec z tymi historiami, mówi się na głos, mając na myśli, że minęły tygodnie i miesiące: uporczywa wiosna po długotrwałej zimie, a może i dzikie susy, jakimi wtargnęło lato: rozpierając się pięściami i łokciami, ze sprężonym karkiem, z głową zadartą, że widać zęby i nabrzmiałe żyły na czole, i ścięgni szyi jak pręgi. Wręcz jak na postrach!

Więc jest już lato, ten dzień przybył i jest: nigdy jeszcze nie było takiego dnia jak ten, co przybył i jest, na tym brzegu, na tej górze.

I już tu zostanie. Wszystkie te barwy: żyto żółte, jęczmień prawie biały, owies jeszcze zielony. Maki są tu liliowe i białe, rzadziej czerwone. Kartofle kwitną. Zanim ten dzień odejdzie, pokaże jeszcze inne kolory, które ma w zapasie.

Na północnym garbie góry, całym w lesie, gdzie się zaczyna i kończy,

zanim się las rozplynie w niski zagajnik, na garbie polana, długi pas roli i łąki.

Na połowie wysokości, nieco bardziej ku wierzchołkowi góry, stoi dom w sadzie jabłoni. Ma z jednego końca przybudówkę dla krowy, trzech owiec i kur.

Często tam bywałem, raz chciałem pana zabrać, panie kolego, może pan sobie przypomina. Opowiadałem panu o właścicielu, niejakim Indrze. Żył tam samotnie od śmierci swojej żony, obywając się najniezbędniejszym.

Mieszkał tam, dzisiaj chciałem go odwiedzić i nie zastałem. Wszędzie cisza, stworzeń też nie ma. Postąłem i odszedłem.

A oto paczka papierów, związana sznurkiem. Zostawiona dla mnie u pewnego gospodarza we wsi jeszcze zeszłej jesieni, dziś ją dostałem, przeleżała całą zimę zatknięta za belkę. Tak też wygląda: poźółkła i brzegi pozaginane. Kartki, niektóre zapisane. Listy. Książka, okładki i jednej trzeciej tekstu brak, Schleicherowskie wydanie Duonelaitisa, jak pan widzi. I zawsze pisał na marginesach, o tu:

„To samo przeżyłem 14 października 1882 roku”.

A – tu:

„To prawda, tak żyjemy”.

I:

„Pan Bóg dopomoże. A jeżeli nie, to czy poradzi?”

Przypominam sobie. Zawsze przychodziłem tu przecież latem. Zastawałem go z motyką na kartoflisku albo zapędzającego owce z góry.

A raz, kiedy przyszedłem w końcu lata, zajęty był zrywaniem jabłek. Stał na krześle, drzewo brzemienne owocem skrywało go do pasa. Bez słowa zszedł i wyciągnął do mnie pełne jabłek ręce.

Musiał już wtedy mieć ponad osiemdziesiątkę. Usiedliśmy przed domem i opowiadał o swoim życiu: jak się ożenił po długich latach przebywania na morzu, a dziewczyna, która była jeszcze dzieckiem, gdy opuścił rodziców, tyle lat na niego czekała. I jak im umierały dzieci, syn marynarz, jak on niegdyś.

Tu są te kartki, kilka datowanych, widzi pan:

„Jestem u Twojej matki. Robię wszystko, co powie. Wołałeś mnie, ożenisz się ze mną, kiedy wrócisz. Nie posyłam Ci tego listu i tak wiesz, co napisałam. 30 lipca 1874 roku. Podpisane: Marta”.

A ta kartka wiąże się z tamtą:

„Zapis. Dan 29 września 1872 roku. Co powiedziałem, Marto Grikus, jest i pozostanie prawdą. Kiedy przyjadę, weźmiemy ślub. Ufam Tobie, a Ty mnie”.

A tutaj:

„Syn, Armamais. Mając lat dwadzieścia zmarł w Bostonie na skutek bijatyki”. I pod tą wiadomością dopisek ojca: „Miał po mnie te wybuchy gorącości, ale jego nikt nie chronił, jak mnie. Czy nauczę się jeszcze uciszenia, wedle

woli Boga?”

To testament, który mi powierzył. Rozpytywałem dokoła: jak umarł? Zdążył jeszcze podzielić swoje mienie między sąsiadów, poszedł do domu, a kiedy ludzie wieczorem do niego zajrzeli, już nie żył.

Wiem, rzekł Voigt, wszystko całkiem proste. Pan przeczyta to i będzie przechowywał. I będzie tak, jakby nigdy nic nie było.

A Storost na to: Myśli pan teraz, że to należy także do tych pytań i wątpliwości Salugi.

A gdy Voigt potaknął: Pan ma chyba rację.

## ROZDZIAŁ VI

**D**oszli do podnóża góry. Idą przez plac. Voigt pokaże się raz u patriotycznych paniuś. Sprzątnęły już z dworu wszystek poczęstunek: wypitą kawę, a raczej naczynia i blachy po plackach, i wiadra, dzbanki, także kwiaty. Teraz wszyscy, syci i nakarmieni, siedzą w sali Wytheho i uroczystość zaszła już dość daleko.

Zobaczymy się jeszcze, panie Storost.

Storost odchodzi na wieś. Ma tam wielu przyjaciół, jest literatem może cokolwiek za wzniosłym, ale prosty lud to lubi. „*Cienie przodków*” albo: „*Požoga świata*”. Alegoryczne utwory estradowe. Doktor Wilhelm Storost. Pseudonim Vyduenas.

Na dworze dzieciarnia bawi się jeszcze przed gospodą. Rymowane „wyliczanki” na każdą okazję:

*Ele mele diabli wzięli  
Żydów stąd do piekła precz,  
Piekło w gruzach, idzie śmierć,  
A z Mojżeszem łatwa rzecz,  
Diabeł przebił go na śmierć.*

A jakie rymowane wyliczanki tam, w sali?

Polacy. Rosjanie. Nienaturalna granica. Można zobaczyć stąd grób rodziców po drugiej stronie, dawniej petunie, a teraz nic, nie wolno tam pójść. „Untermensze”. Międzynarodowe żydostwo. Neumann wygłasza swą uroczystą mowę.

Chociaż nie wszystko by się zgadzało, bo przecież Neumann mieszka w Kłajpedzie, tak jak dawniej jego rodzice. Ale to by nie brzmiało tak dobrze. A w ten sposób – działa.

Ten ci umie gadać, zauważa Schweissinger, porywa człowieka.

Jeszcze jedno piwo i *puske* też.

Mowa jest nader donośna.

Voigt, oparłszy się o ladę, stoi w gospodzie. Przy drzwiach do sali młody wieśniak poklepał po tyłku córkę Wythego – okrąglą i jednak już po czterdziestce, niosącą tacę ze szklankami; życzliwie, lecz pani Wythe to dostrzegła. Precz z łapami od dziecka! rozbrzmiewa srogo i obyczajnie.

No tak, czystość obyczajów, nie to nie, biedne dziecię.

Albo może później.

Czy pan nie chce wejść na salę? Znajdę panu miejsce, mówi wieśniak.

A pan? Pan nie chce? – odpowiada pytaniem Voigt.

Tyle gadania, stwierdza młody człowiek.

Z rana kościół, a teraz znowu to. Ale potem będzie teatr.

Więc zostają za drzwiami, i tak dobrze słyhać.

Ale teraz Neumann chyba zanadto się zagalopował.

Jeszcze przez parę słów utrzymuje się w niezwyklej sile: świńska gospodarka i jeszcze coś w tym rodzaju, potem głos zawodzi czy załamuje się – nie można tego określić od razu: coś jak gdyby pisk, następne dźwięki wymruczane chrypliwie.

A cóż to?

Śmiechy na sali? Pojedyncze, ale śmiechy.

Niebywałe, całkiem niezwykle.

Neumann przerywa, tym razem dobrowolnie.

Następnie, z trudem odzyskuje naturalny ton: Kto ma coś do powiedzenia?

I w odpowiedzi – rzeczywiście w odpowiedzi! – głos zupełnie inny,



wcale nie tutejszy, lecz w okolicy powszechnie znany:

Niech pan wraca do domu, tam może pan sobie dalej krzyczeć!

Młody wieśniak otwiera drzwi. To przecież chyba Hennig?

No, oczywiście, murarz Hennig. Saksończyk, dwadzieścia jeden lat, zjawił się tu i osiadł w Moczyszkach, pracowity gość i zręczny, ale z niemiłymi uwagami o chłopach: że krowa sra im masłem, a o nowych władcach z drugiego brzegu: klub manifestantów; do tego zaś jeszcze komentarz: wszyscy złożyli już zeznania o zadłużeniu. Takie i jeszcze gorsze uwagi. Neumann mówi więc teraz to, co szanujący się człowiek odpowiada na podobne chamstwa: Niech się pan uważa za moralnie spoliczkowanego. A Hennig odpowiada spokojnie: A pan za moralnie zastrzelonego. Dodając znany, zazwyczaj wyrażający pogardę, nieprzyzwoity odgłos. Niejeden się od Henniga odsuwa, kiedy ten wchodzi.

Ale na razie tu siedzi i nic sobie nie robi z tego, że draby Neumanna ustawiły się na przedzie, twarzą do publiczności. Obok Henniga siedzi Antanas, parobek z Moczyszek, chłop jak trzy dęby. Jak ten się tutaj dostał? Czyż nie widzieliśmy go tylko co na wzgórzu?

Więc dalej, panie Neumann, ale niewiele już z tego wyjdzie. Co przerwane, to przerwane, wątek zgubiony. A słuchacze zdążyli (i to jest śmierć dla każdej oracji) przypomnieć sobie o swych potrzebach: teatr, a jeszcze przedtem – piwo.

Zatem nieoczekiwanie marny koniec mającej zazwyczaj przebieg tak doniosły demonstracji, jak od pewnego czasu nazywa się takie rzeczy, koniec i kropka. Jeszcze tylko stwierdzenie Gottschalka: Komunistyczna świnia. I znów fryzjer Berger: Tego sobie jeszcze wypożyczymy, jak się ściemni.

Wczoraj Poczka, nieprawdaż? A dzisiaj Hennig. Ale chyba przez ten czas było ich jeszcze kilku. Może chce pan zanotować, panie Berger, oto

karteczka.

A teraz teatr.

Schweissinger, przewodniczący komisji rozrywek w Kulturvereinie, wychodzi naprzód. Ukłon przed panią dziedziczką, ale poza tym: niemiecki Mąż.

Teraz klasyczne aktorki i aktorzy coś nam zaprodukują. O królowej Luizie. Długo to ćwiczyli.

Tusz. I oklaski, bo kurtyna za wcześnie się rozsunęła i nauczyciel Szymkus stoi tam jeszcze z młotkiem w ręku i zarzuconym na ramieniu szalem, którego królowa Luiza szuka właśnie za sceną głośno i wyraźnie: Gdzież się to gówno podziało?

Oszaleć można, powiada rozgoryczony Szymkus do słuchaczy i nawiewa ze sceny.

Jak wiadomo, zawsze tak bywa w teatrze.

Ale teraz się już zaczyna.

Mają nawet budkę suflera i z miejsca widać, kto w niej siedzi. Ponieważ prezenter Kankelat wysuwa się z niej do połowy i kiwa zachęcająco w stronę lewej kulisy.

Wreszcie nadciągają także damy Luizy w liczbie sześciu, gęsiego, ale grzecznie trzymając się za ręce i zaczerwienione z onieśmienia, ubrane na bławatkowo, z wieńcami bławatków we włosach. Mają one mianowicie powiedzieć prolog.

*W ów przenajcięższy dla Prus czas  
W jednym z pobliskich naszych miast,  
Gdzie cześć niemiecka, honor, siła  
Od dawna sobie mir zdobyła...*

Tak się to zaczyna, tak idzie dalej.

Voigt przeniósł się jednak do sali. Warto się przyjrzeć. Także dzieciątka pobierano z łąki i wprowadzono do środka, teraz będzie coś ślicznego.

To pani Urbszat! – krzyczą dzieci z Wilkiszek, gdy wkracza na scenę ochmistrzyni Voss. Poznały ją od razu, gdyż rozplótł się jej sztuczny warkocz, to jej się zresztą wszędzie przytrafia.

Zatem ochmistrzyni wkroczyła, a pani Fröhlich stoi tam już i mówi: Moja kochana Vossunia.

A pani Urbszat odpowiada: Moja ukochana królowo.

Ma przygotować ukochaną królową na to, że prosty lud tęsknie jej wypatruje. Ale królowa nie zdumiewa się tym bynajmniej, popada tylko w rozmarzenie, przy czym rozskubuje bławatek.

A zatem musimy... – czy coś podobnego. Po czym obydwie pośpiesznie zaczynają płakać i pani Urbszat odchodzi, by doprowadzić swój kok do porządku, a pani Fröhlich płacze jeszcze troszeczkę samotnie.

W następnej scenie znajdujemy się już pośród ludu. Pani Fröhlich bardzo dobrze to umie: zawsze buzia w ciup, głos jak flegik i zagłada przy tym we wszystkie kąty:

*Wszędzie tu ład i czystość znać,  
Drewniana ława wygodna snadź?*

Tedy udano się do ubogich, lecz uczciwych włościan. Pani Voss, ze świeżo upiętym kokiem, wypakuje z pudła zabawki, całkiem niebrzydkie rzeczy, i daje je królowej do ręki, a ta wciąż przykucając najniżej, jak może, powtarza, iż chciałaby podarować je dziatwie.

Więc każde dziecko na sali czuje się tak, jak gdyby je samo obdarowano drewnianym konikiem lub ółowanymi żołnierzycami. I powszechny smutek rozpościera się nad audytorium, gdy matka rodziny na scenie, panna Sellnick, nauczycielka z Wilkiszek, energicznie zgarnia

to wszystko i woła ku publiczności, o wiele za głośno i za wysoko: Ale Najjaśniejsza Pani, to o wiele za dużo! Zaraz ustawię to w mojej oszklonej szafie!

Albo: jest to oryginalna historyczna wypowiedź, albo: poetę Brühfische zawiodły w tym miejscu rymy. Voigt się śmieje, ale, jakkolwiek by się rzecz miała, dzieci na sali żywią niezbyt serdeczne uczucia dla królowej, która pozwala narzucić sobie taką matkę z ludu! Powinna jej wszystko z powrotem odebrać i sztukę po sztuce porozdawać dzieciom.

Ale pani Urbszat znów się kok rozluźnił. Stara się przytrzymać go jedną ręką, potem oburącz, i tupie z gniewu. To wywołuje pierwsze rzęsiste oklaski. Kankelat znowu wysuwa się ze swej budki i ucisza publiczność. Albowiem teraz wchodzi na scenę Papendiek, Papendiek z Nausseden jako król, i wypowiada dwie połówki zdań, gdyż był, jak wiadomo, małomówny; że pani Fröhlich ma przyjść natychmiast, bo przybył uzurpator, cesarz Francuzów.

*Bo uzurpator ma audiencję –*

*Okaz w spotkaniu indulgencję.*

Zaczem kobiety płaczą ponownie, lecz ochmistrzyni ma przez cały ten czas na podorędziu dobre rady i przepisy postępowania.

W ogóle taka już jest: albo udziela pouczeń królowej – pomyślcie tylko! – albo też płacze. Zawsze w trzymaną oburącz chusteczkę. Królowa zaś tak jest porwana czy poruszona grą, że płacząc roni prawdziwe łzy, widać to, bo nos pani Fröhlich się czerwieni; właściwość również znana w okolicy.

Resztę można bodaj pominąć. Warto jeszcze tylko zobaczyć jedno: Napoleona, małego i z brzuszkiem. Właściciel serowarni, Dürrmatt, Szwajcar, gra Napoleona w dosyć francuskim duchu, toczy oczami, ruchy

ma ostre i szybkie, mówi niemal wyłącznie przez nos.

A następnie, aby pocieszyć zasmuconą królową, która jeszcze kilkakrotnie płakała, a teraz płacze znowu: ostatni akt. Znamy to już wczoraj: ubodzy, lecz wierni tubylcy pruskiej Litwy składają hołd swej nieszczęśliwej królowej, niektórzy w precyzyjnie łamanej niemczyźnie. Zupełnie ładny obraz, cała scena pełna ludzi, wszystkie, błękitne dziewczyny, kobiety i dzieci Luizy. Kapela za sceną intonuje: „*Jestem Prusakiem, czy znacie me barwy?*”, a królowa mówi: Mój dzielny i wierny ludu!

I zaraz też wczorajsze łaskoty: kiedy pruscy Litwini padają na kolana. Właśnie robią to znowu, a że wprawa jest wprawą, huk czynią całkiem niezgorszy.

Tu radość nie ma już granic. Piwa! – woła we drzwiach Wythe. A Schweissinger pędzi za scenę, wpadł mu pewien pomysł do głowy, trzeba się było z tym liczyć, orkiestra zaczyna więc: „Zwycięzimy chlubnie Francję”.

Tak tedy wszystko w porządku, sala śpiewa. Wesoły lud. Ach, taak.

Uroczystość ciągnie się dalej, właściwie teraz dopiero nabrała odpowiedniej temperatury. No, i ściemnia się już.

A zatem kolej na dzieciarnię: pochód z lampionami. Sunie toto po łące niby procesja robaczków świętojańskich, okrąża parę stojących oddzielnie drzew, śpiewając śliczne piosenki: „*Latarnio, latarnio*”.

Pierwsze dziecko, dziewczynka sztywna jak świeczka, krok za krokiem, uważnie. Dwoje idących za nią z miejsca się pokłóciło i zaczynają się młócić kijami od lampionów, światełka natychmiast gasną obydwu, zaczyna się uspokajanie, ponownie zapalają świeczki. Wszystko idzie dalej jak należy.

Przy koniach, na skraju lasu, nieco w tyle, stoją Warszoks i krzykacz. Warszoks opanował się już. Nic mi nie mogą zrobić – powiada, nie oni.

A po następnym pociągnięciu z butelki: Mamy ich przecież w rękę. Jak się o coś przyczepią, idziemy do Wiszwill do sądu.

Krzykacz nie wydaje się jednak zbyt przekonany o celowości podobnego zabiegu. Może Warszoks nie wie wszystkiego?

W każdym razie krzykacz powiada: Lepiej się pohamuj, Warszoks. Nie widziałeś, jak ja to przedtem robiłem, z tym Gottschalkiem? Po prostu zaprzeczałem: Nic nie wiem, a ty miałeś na myśli kogoś całkiem innego.

Ale ja jednak nie wiem, mówi Warszoks, on się tym od razu zadowolił, to mi jakoś za prędko poszło, nie wiem.

No, ale teraz już wiesz: tak, jak ci mówię. Jak ci zaczniesz jeszcze raz przysmradzać, to powiedz, żeś myślał o tym Steinerze z kolejki, co to nie dał się przenieść wtedy, jak jeszcze było można, do Wystrucia.

A jak Neumann przyjdzie?

Tak samo. Trzymaj się tego. Wciąż się trzymaj tego samego.

No, to na zdrowie!

Nic nam nie mogą zrobić, nam!

Już my sobie z nimi poradzimy!

I jeszcze raz pod paznokcie z butelki.

Kto nam, chłopom, da radę!

Jak to się łatwo gada, a jak śmiesznie zaczyna człowiekowi zniecka pełznąć od krzyża w górę lekkie łaskotanie, a potem nagle ostry chłód. Jakby marynarka pękła.

Widziałeś go? Już wychodził? – Pytanie szeptem.

Nie. Jeszcze nie. – Wyszeptana odpowiedź.

I raptem na Warszoksa przychodzi objawienie jakby prosto z nieba.

Zadrzemy z Litwinami, podniesiemy raban, wielką burdę. Jak wtedy będziemy wyglądać? Nikt nam nie da rady, nam, bohaterom!

Tak, to jest rozwiązanie. Z tym można wyjść z lasu. Z tym można pójść na łąkę. Z tym można nawet wejść do gospody. Z tym można wyjść

na światło.

Tylko dobrać sobie jeszcze paru ludzi: fryzjera Bergera, chłopców Wallata, Szwilla, Urbszata. Zrobi się.

A jak to zrobić?

Po prostu, przy stole. Fryzjer Berger mówi: Ależ naturalnie, jest już coś niecoś na liście.

Urbszatowi się śpieszy: teraz rozpalają ognisko nad wodą. Ludzie z Bagnety, z Paskallu zaczęli już, z Neuhofu także.

Są ognie świętojańskie po niemieckiej stronie, a tam się to nazywa świętem porównania dnia z nocą.

A wy idziecie z nami?

No, oczywiście. Powiedz, jak będzie trzeba.

Sam zauważysz, mówi Warszoks, zrobimy to na dole.

Na szczycie wzgórza Litwini podsycili już wysokie ognisko. Śpiewają przez chwilę. Płomień goreje nad kamieniem, spokojnie, tylko czasem wiatr wdziera się z góry w otwarty krąg i rozwichrza, kręci płomienie. Wówczas kładą się szybko białe tory świetlne aż do gęstej ściany pni świerkowych, istnej palisady – aż głęboko w zarośla. I znów znikają, tylko w podniesionych twarzach trwa jeszcze światło.

Ktoś zaczął opowiadać, teraz, gdy młodzi ludzie stopniowo znikają ze wzgórza, zaś ci, co zostali, siadają bliżej siebie: stara historia o dzieweczce Nerindze, która takiej nabrała mocy i tak urosła, że była wyższa nad najwyższe świerki, wynosiła wozy wraz z końmi z piaszczystych diun, a podczas sztormu podprowadzała statki bezpiecznie do lądu albo je na łańcuchu wciągała w zbawcze ujście Niemna. Wraz z rybakami wybrzeża zbudowała zapórę przeciw złości dziewięciogłowego smoka morskiego Galwirdasa, tak że mógł już odtąd szaleć tylko na pełnym morzu, oczywiście ze zdwojoną furią. Aż przybył z Szamait strzelec Naglis, który zabił smoka i poślubił Neringę. Sprawiono weselisko, o którym po

dziś dzień mówi się na Litwie. Tak, jak dziś jeszcze zaporą nosi imię dziewczeczki Neringi: Neringa – Zalew Kuroński.

Tuta Gendrolis poszła była przedtem z ludźmi z Krakiszek. Zaraz ją poznali i trochę jej zaczęli dokuczać: Przecie skończyłaś już szkołę, a znów latasz do nauczyciela, no i od razu na sianko...

Poetka został jeszcze przy ognisku, więcej ze swoim żywym Duonelaitisem niż z martwym Vytautasem. Nie chciało mu się dużo gadać. Bo i o czym? Że wszyscy oni są wciąż żywi: i myszjojad Peleda, i obłudnik Slunkius, i gaduła Bleberis, i krzywonosy Szlapjurgis, tak, ci, co straszą w „Porach roku” Duonelaitisa. Albo że się troska, jak też będą się odcinały jego ulubione partie tekstu w tej operze, czy znajdzie się dla nich miejsce. Ów ustęp z „Drugiej Idylli”, z „Zimowych trosk”:

*Spojrzyj, jak wołek wasz, czarny czy krasny, srokaty  
czy płowy,*

*Ryczy zgłodniały, gdy zoczy w twych rękach choć  
pęczek bylicy.*

*A kiedy mu z serca dobrego wiązeczkę paszy  
przyrzucisz,*

*Wrąz ją ozorem zagarnia do gęby i z chrzęstem  
pożywa,*

*I zdźbła hałaśliwie żując, na chwilę z nas oka nie  
spuszcza.*

*O, gdyby litewską mową mówić umiały stworzenia –  
Dzięki by wam składały za dar wasz w zamknięciu  
zimowym.*

Więc jeszcze tam posiedział. Teraz pójdzie za dźwiękiem śmiechu, rozlegającym się na dole, dokoła wzgórze.



Na połowie wysokości, nad piaszczystymi jamami, Poczka przystanął. Stąd ma widok na oba brzegi rzeki. Ogniska tam naprzeciw i ogniska na dole także widać, i nie pomyślał: że mogą to być inne ognie niż tamten na górze.

Lecz później słyhać już jednak: wykrzykują zaklęcia nad ogniem, biegają, skaczą, próbują wołać przez rzekę, machają płonącymi gałęziami. Tamci powinni odpowiedzieć.

A tamci mają pewnie takie same zamiary: wołać przez rzekę, dawać znaki, recytować zaklęcia.

Gdzie też może być Voigt?

Siedział w gospodzie ze Storostem i Salugą. Aż dwu profesorów – profesorowie z krwi i kości. Kankelat był wielce podniecony. Wciąż tam i z powrotem: od stołu, przy którym przewodniczy dziedzic dóbr rycerskich von Draschke, gdzie tymczasem przysiadł się Nickel Skambraks, poseł do landtagu, wygłaszając swe tyrady na temat autonomii ziemi kłajpedzkiej, jak każdego roku, jakby się nic nie wydarzyło, jakby w Kownie nie było rządu Waldemarasa ani nawet rządu Rzeszy tego pana Hitlera, jak mówi, jakby tego zupełnie nie było – do stołu uczonych i znowu z powrotem.

Neumann miał w końcu dosyć tej gadaniny o autonomii. Wstał.

Panie Skamibraks, panu się jeszcze otworzą oczy.

I odszedł.

Von Draschke wciąż tylko miał się czemu dziwować. Wreszcie bardzo znaczącym tonem spytał o córki:

A gdzież te się podziały?

Ale potem dla Kankelata skończył się ostatecznie ten ruch wahadłowy. Pan von Draschke odezwał się, że to wszystko są chyba Litwini, ci panowie tam przy stole? I tym sposobem Kankelatowi narzucona została konieczność wyboru. Tedy dla namysłu udał się najpierw do wychodka.

Zaczem – człek wesoły i do pokus skory – zwabiony został wielkim

ogniskiem na brzegu. Posterował tam, niezgorzej już naoliwiony, trochę go rozbierało świeże powietrze. A tam też stało piwo, całymi skrzyniami, i kapela przyszła, i coraz więcej ludzi, nawet murarz Hennig ze swym przyjacielem Antamasem. I czterech jeszcze z trapońskiego tartaku, jak się okazało, czyli z niemieckiego brzegu, ale nie przyjaciele czy koledzy Neumanna, nic podobnego. Rozgadali się z Hennigiem i Antanasem, wreszcie też z ludźmi z Krakiszek, kiedy ci przyszli, mając Tutę wciąż ze sobą.

Tylko nie Poczka. Gdzie jest Poczka? Gdzie się podział?

Także Voigt i Storost wyjdą teraz z gospody.

Trzeba się będzie z wolna przyzwyczaić do myśli o powrocie do domu. Zatem: Dobrej nocy, panie Saluga. I jeszcze troszkę na powietrze, między ludzi.

Chciałbym się pożegnać z panem Poczka i jego narzeczoną, powiada Voigt. Gdzie on może być?

Pewnie tu gdzieś, znajdziemy go, mówi Storost.

Ale go nie znajdują. Przy ognisku go nie ma. Idą dołem, u podnóża góry, od strony brzegu; nie ma go i tu.

Storost ma jeszcze jeden pomysł w związku z operą.

Te wielkie pouczenia, które poeta włącza, należą moim zdaniem do najpiękniejszych w jego dziele: jak pan chce je potraktować? To znaczy, kiedy trwa akcja – to się trudno wiąże ze sobą.

Jużem się nad tym zastanawiał. Ariami nic się tu nie zrobi, byłyby to wagnerowskie monologi.

Mam na myśli, na przykład, to znane miejsce, ciągnie Storost, pan zna je na pewno.

I recytuje ustęp, o którym myślał: cichą rzetelność ciężko doświadczonego kaznodziei łącząc, nawet w tym wykonaniu, z ponurym nieokrzęsaniem wiejskiego mędrca:

*Jak żyjesz, świnio! Jakże ci nie wstyd: przedwczoraj  
Konno mijalem twe zaniedbane obejście.  
Zarzy mój kary i wraz sypią się, gonty z twych  
dachów,  
Okna się tłuką i wtem – trzy pstre maciory  
z przychówkiem  
Wypadły z domu przez drzwi, srogi podnosząc  
harmider,  
Jakbyś je nożem rznął – aż włos mi stanął na  
głowie!*

Voigt składa ręce na brzuchu i powiada: Nie znam jeszcze sposobu,  
lecz do opery to wsadzę –

Ten by się jeno wyrzekł, co od ludzi i bogów opuszczon.

Storost się śmieje. Może takie miejsca trzeba by po prostu mówić?

Ale może Gawehn wyczaruje do tego w tle utwór małej orkiestry?  
Muszę to z nim kiedy omówić, tak doskonale mu teraz to idzie. A potem:

Szkoda, że nie ma tu Poczki, doradziłyby, jest muzykalny. Na to Storost  
dalej:

Tedy w zaroślach szukajmy Poczki, czcigodny kolego.

Odnaleźć musimy go choćby w ramionach kochanki!

Ale teraz dość już tego! Voigt przystaje, nasłuchuje przechyliwszy  
głowę na bok i wciska w ziemię koniec laski.

Nie słyszy pan, co się tam dzieje, na dole?

Chodźmy, odpowiada Storost.

Wtem staje przed nimi Gottschalk.

Dokąd panowie idą?

Tam na dół, do ogniska, mówi Voigt. Czy pan nie widzi, że tam się  
coś stało?

Nie sędzę, żeby panowie mieli tam czego szukać.

Tak? Nie sędzi pan? Proszę zachować swoje poglądy dla siebie. Mamy wolność poglądów i wyznań.

Gottschalk zastępuje drogę Voigtowi.

Panowie tu zostaną, was to nic nie obchodzi.

Pozwoli pan, mówi Storost.

Pan, stary Litwin, milczałby lepiej!

To już szczyt wszystkiego! – krzyczy Voigt. I mija Gottschalka. Przez ramię do Starosta: Chodźmy, panie kolego.

Znów Gottschalk wyrasta przy nim.

Panie profesorze, dotychczas przyglądaliśmy się temu spokojnie: przez cały dzień zadawał się pan z tymi Litwinami.

Czego pan chce? I kto się przyglądał? Jacy „my”?

Tego nie muszę panu chyba objaśniać!

Idź pan do diabła, rzecze Voigt.

Teraz dosyć tego. Voigt użył snadź właściwego słowa. Gottschalk obraca się i znika, jakby się rozpląnął przed ich oczami.

Zatem do ogniska.

Panie Storost, woła Voigt, niech pan patrzy, przecież to bitwa!

Bóg widzi: bitwa. Dokoła dogasające ogniska. Urywane wrzaski.

Ach, Boże, moi Litwini tam w samym środku!

Voigt krzyczy. I pędzi teraz, wymachując laską, ku polu walki.

Stop! Rozejść mi się!

Ale ci tutaj to nie uczniaki.

Panie profesorze! – Kankelat śpieszy mu na spotkanie. Niech pan nie idzie dalej, panie profesorze!

Ach, cóż znowu, panie Kankelat. Nie widzi pan? – I mija go.

Tam stoi Tuta Gendrolis.

Dziewczynno, czego tu szukasz? Gdzie Poczka?

Nie ma go, nie można go znaleźć. Ale nasi mężczyźni...

Ma na myśli ludzi z Krakiszek. Których Voigt dojrzał już z daleka.

Ach, i te mordy! Voigt odkrył teraz kompanów czy komilitonów Neumanna. I jeszcze jednego, który się wczoraj zataczał w gospodzie Plattnera, jeszcze jedną taką twarz, jakiej się nie zapomina.

Aż tu nagle kwik, jakby kogoś zarzynali.

Walczący w pojedynkę przerywają zajęcie, także walczący w grupie, czy jak zechcemy to nazwać. Co się tu stało?

Hennig.

A więc: Kto się stał?

Hennig.

Co się Hennigowi stało?

Rozciera sobie krzyże. Mówi: Jakiś wlaźł mi prosto na nogę! – Coś w tym rodzaju.

No, to dopiero. Czy teraz trzeba się śmiać?

Lepiej by było. Ale nic nie pomoże, Hennig.

Warszoks wyrzuca w górę obie ręce i z rykiem wpada na Antanasa z Moczyszek.

Ty psie przeklęty, ja ci dam!

Ale niedaleko zajechał.

Ta burza kończy się o dobry metr od Antanasa: na wyciągniętej antanasowej prawicy, na którą Warszoks nalatywał jak wół.

Ale odpadł w tył, zamiast się po prostu osunąć na ziemię. Odpadł w tył, czaszką na nadwęglony pień.

I wytrzeszczył oczy. I już ich nie zamyka.

W tej okolicy ludzie nie są niedoświadczeni. Widywali już zmarłych. Właściwie wzrastali z nimi.

Kto mieszka na nizinach, wie: każde dziecko spędza całe tygodnie ze zmarłymi, pod jednym dachem.

Gospodarstwa na obszarach zagrożonych powodzią porozmieszczone są na wzgórzach, każde na swoim wzgórzu. A w końcu lutego i w marcu lód staje się porowaty, potem nie można już nań stąpnąć, noga wpada jak w watę, lód poskrzypuje trochę i jest mokry. Ale nie topnieje. Łódka: nie można przepłynąć. Jest się więc na pięć, sześć czy siedem tygodni w zamknięciu, bez połączenia z sąsiednim gospodarstwem, wieś nieosiągalna, ale coś oznacza w takiej okolicy wieś, więc: sołtys albo poczta, ale ani jedno, ani drugie na nic się teraz nie zda, wszyscy są odcięci i każdy osobno.

Jeżeli teraz kto umrze, zostanie w domu aż do wiosny, aż zniknie lód i minie szaktarp. Tak się ten okres wichrów nazywa. Ma własną nazwę, można zrozumieć, dlaczego.

Może tedy zmarły pozostać w domu. Na poddaszu stoją gotowe trumny. Układa się go z płaszczem w trumnie. I stoi tam sobie. Przyzwyczajają się ludzie, zapewne.

Mają doświadczenie w tych okolicach. Wiedzą. I to, że kobiety podnoszą teraz krzyk, a mężczyźni rozstępu ją się tworząc szeroki szpaler, ma swoje przyczyny. Strach tu nie wystarcza.

Voigt objął Tutę Gendrolis i trzyma ją mocno. Ustami dotyka jej włosów.

Dziecko, kochanie, nie płacz.

Ale nie może jej teraz odprowadzić, nie może teraz stąd odejść. Bo dobrze wie, co będzie dalej.

Neumann zjawia się zniecka, jakby wyrósł spod ziemi.

Antanas jeszcze w to wszystko nie wierzy. Dokoła niego milczenie. I ten człowiek, który przed nim w pewnej odległości stanął. I ten drugi człowiek, leżący z otwartymi oczami, wcale ich nie zamyka. Bodaj by wstał chociaż!

Ludzie z Schreitlauken stają przed nim jak osłona. Hennig stoi u jego

boku. Ludzie z Trapporn podchodzą do Neumanna.

Co pan chce zrobić? – pyta jeden.

Ale teraz głos ma policja. Neumann woła: Panie Wasgien, ta zdaje mi się pański resort.

I Wasgien wychodzi naprzód.

Panie prokuratorze, mówi stuknąwszy obcasami.

A do ludzi z Schreitlauken: Nie robić trudności!

Zaś do ludzi z Trappon: Jesteście z tych okolic?

Do Henniga: A ty się wynoś.

Do Antanasa: Proszę iść naprzód. Do gospody Wythego.

Antanas jeszcze w to wszystko nie wierzy. Stoi i rozgląda się.

Voigt, wciąż obejmując Tutę ramieniem:

Panie prokuratorze Neumann, obserwowałem całe zajście zupełnie z bliska, to był nieszczęśliwy wypadek, a ponadto obrona konieczna.

Neumann: Co pan ma przez to na myśli, panie profesorze?

Voigt: To, co powiedziałem. Zgłaszam się jako świadek.

To zbytuczne. Pan jest Niemcem z Rzeszy. Tu jest pod dostatkiem miejscowych ludzi.

Voigt: Stanowczo obstaję przy tym.

Nie przesądzam sprawy, panie profesorze, ale pańskie zeznania nie byłyby tutaj szczególnie interesujące.

Voigt odwraca się i dostrzega obok siebie Kankelata.

Pan prezentor Kankelat, mówi Voigt, stał tu cały czas. Więc niech on złoży zeznanie.

A jak pan sądzi, co zeznałby pan Kankelat?

To samo, co ja.

Panie Wasgien, woła Neumann za żandarmem. Pan profesor Voigt usiłuje tu wpływać na świadków!

Proszę nie podburzać ludzi, ostrzegam pana! – odkrzykuje Wasgien.

Zaczem kontynuuje swój marsz.

Słyszał pan, powiada Neumann.

Nonsense! Voigt zwraca się ponownie do Kankelata: Pan stał tutaj, panie Kankelat. Pan wszystko widział. Nie może pan zeznać nic innego.

Więc teraz Neumann pod adresem Kankelata.

Panie prezentorze Kankelat, byłbym panu obowiązany, gdyby pan zechciał wypowiedzieć się jednoznacznie.

Kankelat, co powie Kankelat?

Panie prokuratorze, mów, zdaje mi się, że patrzyłem właśnie w inną stronę. O, w tę!

I pokazuje ręką.

No tak, tedy można to zakończyć. Nie potrzeba już przepytawać Urbszata i Bergera, Szwilla i Schweissingera, Wallata i nadleśniczego Symonaitisa. Nawet tego ostrożnego Symonaitdsa, który, jak opowiadają, odcinał swemu psu ogon po kawałeczku, co dzień kawałek, nie wszystko naraz, ażeby mniej bolało.

I nic więcej.

Teraz woła Marta Kajrys: Parowiec!

A teraz Wilhelm Storost i Martin Voigt schodzą na przystań.

Pozdrów ode mnie Poczkę, mówi Voigt, obejmując płaczącą dziewczynę.

Aż kapitan upomina: Proszę wchodzić, odbijamy.



## ROZDZIAŁ VII

**D**rewniane rusztowanie, które tu mamy opisać, jeżeli się tylko da, czyli które by tu opisać należało, nazywa się punkt triangulacyjny: Punkt Triangulacyjny. Opisywane jest na terenie, który wypada określić jako fałd ziemi o kilkaset metrów na zachód od góry Rambinas, płaskie, ledwie widoczne wzniesienie niższego garbu góry, zalesionego i wymykającego się z głównego grzebienia ku równinom. Miejsce to określilibyś jako nieregularne, na oślep głazami przytrzaśnięte, gdzieś tam porośłe wrzosem uroczysko. Nie weźmiemy pod uwagę drobnych klinów suchego, popielatego mchu, lecz raczej cztery czy pięć kosodrzewych jałowców, zwanych tutaj *kaddik*. Obszar ograniczony czarnymi bzami i dziką porzeczką, a dalej zagajnik iglasty, świerki i na poły uschnięte sosny. Taki jest ten teren. Drewniane rusztowanie, ów punkt triangulacyjny będzie musiał tu stanąć.

Należy go opisać, jakby stał tutaj, a nie na drugim brzegu Niemna, w skos naprzeciw. Tam, gdzie go można odnaleźć według zapisu na mapie, skala 1:150 000, określenie: zakręt Niemna pod Ragnetą. Pięciopiętrowe rusztowanie z okorowanych, nie ociosanych pni. Cztery maszty ustawione do siebie pod kątem prostym, stromo pochylone ku środkowi kwadratu i zbiegające się na piątej kondygnacji nad małą platformką, otoczoną czymś w rodzaju balustrady z kratownicy; wszystko związane ciężkimi żelaznymi bolcami. Od styku masztów idzie w górę mniej więcej dwumetrowa żerdź. Z jednej kondygnacji na drugą prowadzą drabiny, za każdym razem z innego rogu. Każdy z podestów utworzony jest przez

cztery poprzeczne belki, umocowane poziomo na zewnątrz i wiążące ze sobą maszty. Od ich wystających końców idą znów pochyły ku następnej kondygnacji belki wiążące, oczywiście na krzyż. Ale właściwie jesteśmy dopiero przy pierwszej kondygnacji, stanowiącej podnóże, gdzie nie ma drabiny, gdzie zatem Poczka nie powinien się zatrzymywać dla namysłu czy czegokolwiek innego, już się też zaczyna ściemniać; po prostu powinien skoczyć: jednym susem na pierwszą kondygnację, skąd może wejść dalej po drabinie.

Najpierw skoczyć na tę wieżę, której nie ma, bo na dole brak drabiny; skoczyć na pierwszą kondygnację, stanąć na poprzecznych belkach, a następnie wspinać się z piętra na piętro. Coraz ciemniej, sięga to – jako lotny półmrok o zmiennej, może malejącej wznwyż gęstości – aż do czwartej kondygnacji. Potem robi się jasno. Nie tutaj, nie wokół tego rusztowania, nie wokół tego punktu triangulacyjnego, ale przecież gdzieś: jaśnienie z daleka. Gdzie to jest?

Nie za rzeką. Za lasami, za dwiema rzekami, gdzieś daleko stąd.

Tam więc wylądował Poczka: na piątej kondygnacji, gdzie jest jaśniej niż na czwartej, trzeciej i drugiej, w tym rozcieńczającym się mroku, coraz lżejszym od drabiny do drabiny. Ale to wszystko, co opuścił, co pozostało w tyle za wspinającym się: prawie nie do rozeznania, jeżeli się spojrzy w dół.

Poczka tu jest. Ileż to ludzi o niego pytało? A on jest tutaj. A stąd jest widok, można stąd wyrzeć. Dokąd wyrzeć? W pejzaż. W ciemność. W której jest to jaśnienie.

Wyrzeć w czas. Jeżeli się wie: co to jest czas.

Teraźniejszość? Co jest już zawsze zamknięte, gdy się ją postrzega, miniona, zamieniona w przeszłość.

Przyszłość? Co zawsze nadchodzi, całkiem bliźniutko, i nigdy nie weszło, stale zostaje na zewnątrz.

Przeszłość? Zamknięta, odprawiona, nie da się przywołać, bo nie słyszy. Może rozpoznawalna w przedmiotach martwych; to, co umarło, w mgnieniu oka staje się nierozpoznawalne.

Ale można patrzeć na to. Bo na cóżby innego? Niż na to, o czym się myśli, że jest naszą własnością. Widzi się: domy, wieś, okna. Zagląda się przez okno. Co to za ludzie? Jak wyglądają?

Ludzie z twarzami, z rękami. Jak są ubrani?

Dwaj mężczyźni, peruki otaczają ich uroczyste twarze; czarne surduty, białe koszule, lekko wzorzyste kamizelki, zapinane na wiele guziczków, z których trzy górne odpięte; spodnie do kolan, trzewiki o białych sprzączkach. Przepowiedzmy sobie ich nazwiska.

Proszę, wasza wielbność, niech pan wstanie.

Tak moglibyśmy powiedzieć, wówczas wstałby jeden z nich, ten, do któregośmy się zwrócili, i łatwo by go można opisać: niejaki Kristijonas Duonelaitis, proboszcz z Tolmingkehmen, urodzony w Lasdinehlen, stypendysta, student, nauczyciel domowy, chórmistrz w Stołupianach, w 1742 roku rektor tamże, mianowany w następnym roku w Tolmingkehmen, po złożeniu egzaminów i wyświęceniu w Królewcu *24 Decembris huius anni*, wprowadzony na urząd tutejszego kaznodziei, który to urząd sprawuje już dwudziesty rok.

Stajemy się natarczywi. Dwadzieścia lat.

Pofolgujmy więc naszej mowie, bez form i ozdobności, niech płynie, jak chce. Mów, żebym cię widział, powiemy. Mów, żebyśmy cię zobaczyli.

A on stoi, położywszy lewą dłoń na stole, zwraca się do tamtego: Odpowiadanie to mój urząd.

Istnieją pytania, od których zapytany musi się odzegnać.

To powiedział ten drugi. I dla tych słów musi teraz wstać. Musi się dać obejrzeć.

Mąż taki sam jak jego rozmówca. Wielbny Sperber. Stypendysta,

student, nauczyciel, szybciej doszedł do piastowania godności. Poprzednik Duonelaitisa w Tolmingkehmen, od roku 1756 proboszcz w Kunzen. Odwiedza swego przyjaciela, który chrzcił dzisiaj: dziecko płci żeńskiej w Randoni. Skąd zatem jego ostrożna mowa?

Doświadczenia przyjaciół są jednakie. To temat ich rozmów od trzech dni, odkąd tu przybył. Jego kościół jest pod patronatem, tedy jego pan baron dyktuje mu: na co zwrócić uwagę i co czynić. A tutaj decyduje urząd, z siedzibą na królewskim folwarku: stanowi o dwudziestu siedmiu wsiach, ogółem o 309 kominach, o ziemi kościelnej; jeszcze przed czterema laty sprawował ten urząd Franz Boltz, którego Duonelaitis chwalebnie wspomina jako mocną głowę i religijnego człeka, ale po nim Baring, a teraz ten Ruhig, starosta Ruhig, chociaż zło leży nie w samej osobie pono, ale w tym raczej, że, co za ledwie znośne, za dobrodziejstwo mieć trzeba. Bo stało się teraz nieznośne i przecież tylko przeto, że wielebny nie jest skłonny powstrzymać się od pytania: pytania swoich parafian o ich świadczenia i daniny, i wciąż rosnące ciężary, przez te lata, przez te siedem lat wojny, co właśnie dogasa w tym roku 1763.

Ciężko przychodzi listów pisanie: o słowiku, co śpiewał w tym roku i zgotował niejedną błogą chwilę rano i wieczorem, ale już wiele dni właściwie milczy. Był to ptaszek kierujący się zegarem: zaczynał wraz z wartą nocną, a kończył dokładnie o siódmej. Na zmianę to w moim, to w mego sąsiada ogrodzie, im bliżej św. Jana, tym głośniejszy, nawet i we dnie.

Tedy kieruje się upomnienie do współkaznodziei w Kilgis, przesyłając je przez zakrystiana, Fryderyka Seligmanna: Nie przyjmować przeniesienia w obce okolice, gdyż dobrzy Litwini są w tych czasach rzadkością.

A to przecie tylko, aby nie opuszczać owieczek, którym trudno będzie dawać odpowiedź, jak każą: po prusku, a nie po litewsku. Tak by się można wyrazić, jeżeli to wystarczy.

I innych trosk również nie brak.

Od roku 1758 mieliśmy załogę rosyjską, to nam niewiele szkodziło. Prawosławni kazali nam obchodzić swoje święta: w dniu Aleksandra Newskiego trzeba było mieć o nim kazanie, wymyśliłem sobie namiastkę: kowala tegoż imienia, List II do Tymoteusza, werset 4, 14, już wiesz: Odda mu Pan według jego uczynków.

Ale Sperber ma wstać i pokazać się za swą małoduszną mowę. Zanim odejdzie z powrotem do Kunzen, do swojej gminy. Słuchaj, Sperber, tu ktoś przemówi, byśmy go zobaczyli:

*Ach, by zlitował się Pan, by przyszli władcy łaskawi,  
Wciąż skórę łupią na chłopstwie, do ostatniego grosika.*

Tak zacznij. Przy tym obejrzy się. I wpadnie mu w oczy Ale co?

*Nienasycona jest chciwość naszego radcy gminnego.  
Gdyby zmuszono go kiedy, by grosik dał biedakowi,  
Trzy noce by oka nie zmrzył z przyczyny tej  
rozzutności,  
Płakałby od jutrzeńki, wylewał łez gorzkich zdroje,  
Grosz darowany biednemu za srogi grzech  
pocytując,  
Co i przez sen nieboraka nęka, spokoju nie daje.  
Bracia, toć są wam znane dowody pańskiej łaski,  
Nasz dorobek jedyny – wiernie się trudzić, mozolić,  
Zasię panowie wielcy prawem to swoim mieniać,  
By chłopstwo pędzać i szczuć niczym sobakę  
bezdonną.  
O, samolubny tyranie, pasibrzuchu w gniewie  
zjeżony,*

*Co na kształt języków pioruna strach szerzysz, złość  
wywierając,  
Czyżeś inaczej się rodził niżli maluczcy tej ziemi?  
Czyś matki, jak inni, nie miał, co zadek ci szorowała?  
Pomyśl, że Bóg ciebie widzi, gdziekolwiek kierujesz  
kroki,  
I jak ty nas, tak on ciebie przed Stolec niebawem  
powoła!*

A może wielebny Sperber chciałby to sobie przepisać? Tu leżą stronice, jest ich już setki. Sperber, przecież to byłoby dobrze, choćby ze względu na ciebie.

Ale czy to wszystko nie jest już zamknięte, odprawione, nie da się przywołać, bo nie słyszy? Może rozpoznawalne, jako się rzekło, w przedmiotach martwych; to, co umarło, w mgnieniu oka nierozpoznawalne się stało.

Ba, tak to jest. To jest minione, przeszłe.

A przyszłość? Czy rzeczywiście nie nadeszła?

Wciąż jeszcze nie wchodzi?

Tak, tak to jest. A tutaj?

Tutaj jest mrok, dokoła tej drewnianej wieży. Tutaj słyhać kroki, coś uderzyło o kamień.

Duchy Francuzów?

A zatem owe zakopane skarby leżą jeszcze w ziemi? Pod piaskiem, tylko może jeszcze głębiej? Czyli że macie czego pilnować, wy, napoleońskie zjawy?

Mówcie, chociaż i tak ujrzyć was niepodobna będzie w tym miejscu, które zostało opisane, a które nie istnieje.

Bez rozpędu, bez skoku. Ale ktoś tu jest. Już na pierwszej kondygnacji.

Ktoś położył ręce na belkach, na żerdziach. I oddech, szybszy niż bieg wody, która okrążyła górę i śpieszno jej teraz, płynie bez przeszkód, z prądem. Sądząc ze światełek parostatku sunącego ku miastu.

Unoszącego Voigta i Storosta, którzy siedząc na rufie patrzą wstecz, choć jest zupełnie ciemno i tylko tuż nad powierzchnią wody szybkuje odrobina światła, chwilami już tak, jakby miała zatonać – biedzą na rufie i patrzą wstecz, z sercem pełnym bezradności. Co teraz zrobić?

Co mają uczynić? I z czym? Chyba z operą, panie Voigt? Tak, może jednak.

Dokoła wieży ciemności. Ale i szmery, nogi, ręce. Ktoś po omacku odnalazł drabinę, ktoś wspina się ostrożnie, szczebel po szczeblu. Chyba mu potrzebna ciemność?

A ty, Poczka, na swoich wyżynach, nie słyszysz go. Wciąż tylko patrzysz: tam jest światło, domy, wieś, za dwiema rzekami i za lasami, daleko stąd i w dali od wszystkiego.

## ROZDZIAŁ VIII

Ten nowy rozdział powinien się chyba nazywać: Litewskie wesele, albo: Na litewskim weselu. Wprawdzie lekkomyślnie za wiele się obiecuje, ale bądź co bądź mogłoby w tym rozdziale być wcale barwnie. Aczkolwiek: mówi się, że litewska narzeczona się mizdrzy, co nie oznacza, że się stroi, to już z nią czynią inni, o to nie musi się troszczyć, lecz: że jest onieśmielona, skromna, zakłopotana, prawie niemile dotknięta tym, że stała się ośrodkiem uwagi, powinszowań czy współczucia, o, coś w tym rodzaju.

Ach, nie, powiada raz po raz, a stoi i chodzi tak, jakby miała chcąc nie chcąc w następnej chwili precyzyjnie się przez wrota o wiele za wąskie, a na domiar świeżo bielone, między farbującymi ścianami. I to jeszcze z uszczęśliwioną twarzą.

Mizdrzy się. Jest to, jako się rzekło, postawa, postawa duchowa, wyrażająca się z pewnością w postawie cielesnej. Niektórzy zachowują to: Lehmannowa, jak powiadają, mizdrzyła się jeszcze w trumnie.

A więc może wystarczy i bez tytułu rozdziału, skoro został już zapowiedziany jak polonez. I spisane będzie też bez troskania się: czy wyjdzie z tego akt opery Voigta, czy taki człowiek jak Gawehn uzna coś takiego za wystarczający szkic do muzycznej konstrukcji, weźmie z niego porządek scen; a nawet: czy Poczka widziałaby to wszystko podobnie, gdyby istniała wieża, na której stoi, i owo światło w tych mrokach, widok z piątej kondygnacji, o której wspomniano, że to rodzaj platformy z balustradą z krat oraz sterczącą pionowo żerdzią.



Na mapach Tolmingkehmen jest zawsze bardzo małe, na generalnej mapie Carla Flemmünga nr 3 ledwie jeszcze zaznaczone, na mapie północnej części Europy Wschodniej Justusa Perthesa nie ma już tej nazwy w ogóle, najlepiej chyba oznaczone jest u Harmsa-Wiecherta na arkuszu 8/9, jako wieś kościelna i miejsce jarmarków.

W opisie Ziemi Monarchii Pruskiej Magistra Leonharda, wydrukowanym w roku 1791 w Halle, a zatem dość daleko stąd, w którym wypowiada się on także, i to nietrafnie, o języku litewskim, zaliczając go do scytyjskich, czytamy:

Tolmingkehmen, wieś mieszana, z królewskim folwarkiem, siedzibą zarządu domeny, liczy prócz kościoła 14 w., przy czym przez w. rozumiana tu jest włóka wielka, tzn. niespełna 67 morgów (pruskich).

Urząd Tolmingkehmen w dwu folwarkach i 27 wsiach ogółem 309 kominów.

To wszystko i tyleśmy sami widzieli. Na mapie w każdym razie Tolmingkehmen leży między Walterkehmen a Mehlkehmen, co też niewiele mówi, i między rzekami Pisą a Romintą, które na wysokości Tolmingkehmen mają swój pierwszy zakręt. Tu zaczynają się także wzniesienia, ciągnące się ku południowi przez wrzosowiska w kierunku wyżyny królewskiej, gór Gołdapskich i Pojezierza Suwalskiego. A dalej jest okręg Olecko.

Można by dużo o tym powiedzieć, ale się nie musi, chociaż troszeczkę zróżnicować rzecz jednak należy, a zatem opisać i zobaczyć, czy to nam jakoś pomoże.

Z góry taka wieś wygląda pewnie jak kraina wiecznej szczęśliwości. A więc jak droga, przy której pobudowano domy, za nimi stodoły i, jakby dla oddzielenia jednego gospodarstwa czy obejścia od sąsiedniego, pod kątem prostym do domu lub stodoły, to wszystko jedno, stajnie, obory, spichrze,

piwnice na kartofle, drewnutnie i tak zwane świronki, niskie, lecz ładnie zdobione chałupki, w których się nawet przyjemnie mieszka, jeśli ktoś chce. Wszystkie te spichrze, szopy, świronki o kształtach w wymiarach i rozmiarach stosownych do zasobów, jakie ma się tam przechowywać. I są jeszcze ogrody – warzywne, sady, kwiatowe, a na dziedzińcu studnia, a na każdym dachu stodoły gniazdo bocianie; to trzeba wyraźnie powiedzieć, bo okolica bez bocianów jest, jak myślę, po prostu nie zamieszкана. Nie powinno nikomu przeszkadzać, że tak kroczą sztywne i czarno-biało-czerwone, w tych rzekomo niemieckich barwach, bocian to nie Niemiec, już inaczej starożytny Egipcjanin, tam też zawsze odlatuje: do Egipcjan; spokojny ptak, choć właściwie dostatecznie bitny na własne potrzeby, ale przed zgiełkiem wojennym zawsze od razu nie wie gdzie się kryje. Na końcu wsi albo pośrodku stoi kościół, w każdym razie na poczesnym miejscu. A za nim cmentarz i plebania lub pastorstwo.

Ale by się coś mogło skorzystać na tym opisie, który w dotychczasowej formie jest wręcz do niczego, musimy go zaludnić. Ludźmi, bo i najpiękniejszy pejzaż bez ludzi jest tylko ohydny pustkowiem, gorszym od piekieł. Ludźmi, rozumie się, którzy potrafią się w tym otoczeniu poruszać, nie zaś takimi, co to zaraz nadeptują na zęby źle postawionych grabi, tak że dostają od nich kijem po łbie. A zatem: Selmyką i Maguszą, Astą, Pimą, Urtą, Liną, Anortą, Tużą – same dziewczyny i kobiety, tudzież: Laurasem, Martynem, Enskysem, Justinasem albo znów Matteozusem, Lukoszusem i Jonaszem; mimo że te imiona należą do świętych ewangelistów, tu są to mężczyźni, wśród których zawsze jakiś *jaunikas*, czyli młodzik, jak ten młodożeniec, który z panną młodą stoi właśnie przed domem. Skręcił tu z ulicy, przez otwarte na oścież wrota, na zarośnięte podwórze, i przeszedł parę kroków aż do drzwi wejściowych domu, ze swoją *matrti*, uwieszoną u ramienia. Bo rodzice panny młodej wychodzą na spotkanie, a za nimi cisną się goście, z kieliszkami w rękę,

by wprowadzić zięcia i córkę przez ukwiecone drzwi. Z okrzykami i klaskaniem, do dużej izby na prawo, na miejsce przed piecem, który w lecie przyjemnie chłodzi, ku środkowa stołu, gdzie usiądą i będą ślicznie wyglądali. Już to jako panna młoda czy druhna, matka czy teściowa, usta nie ściągnięte, lecz możliwie małe, wąskie nozdrza, włos odczesany ze skroni: a siedzą ostrożnie, bo i wstęgi, i bufiaste rękawy, i chusty, i liczne kolorowe spódnice. Już to znów jako pan młody, ojciec lub teść, pierwszy druhna, czy ktoś tam jeszcze; w bucikach, czarnych pończochach z wełny czarnej owcy, w na krzyż zapinanych kurtach, luźno spadających, bufiastych spodniach, haftowanych pasach, wąs podkrecony – i, jako że mężczyźni rej wodzą, w każdym razie na uroczystościach i zawsze z początku – tedy i obrotni w głębie, zamkniętej nagle przez piwo, a potem szybszej i wymowniejszej znów przez piwo, i zaraz już przez wódkę, która czekała w antałkach i dłużej czekać nie musi; albowiem nadeszła siódma okazja do powitania dzisiaj: teraz są w domu.

Didwizsus, świekr, nie ułomek, wnosi pospołu ze szwagrem Laurasem wiadro piwa, niech czerpią z tego drewnianymi chochlami i czerpaczkami, a Asta i Magusza nadchodzą z potrawami, pieczone i gar flaków, i *szupinis*, i kisiel, a muzykanci – skrzypek i cytrysta – ci będą jedli potem, teraz niech grają.

*Ake, ake*, mówi matka pana młodego pełna podziwu, gdy dziewczęta intonują do wtóru muzyki:

*Przędłam nitkę Inianą,  
Chciałam umyć ręce,  
Pierścień spadł mi z palca,  
Spadł mi z ręki biały.*

Całkiem po prostu, pod muzykę, która, chociaż dwaj tylko grają, jest

beznadziejnie pochłonięta: dreptaniną w trzyćwierciowym rytmie, która nie pasuje do niczego, i śpiew z miejsca dusi ją za gardło, ale muzyka się broni, długo i coraz zajadlej.

*Jechał tędy chłopiec,  
Stój, mój koniu, rzecze  
Skoczę ja do wody  
Znajdę pierścioneczek.*

Teraz śpiewają i mężczyźni, jeśli tylko zdążą, bo wkracza sołtys Fritz z zakręconym posochem, którego głowicę zdobi dziś szarfa, barwnie tkana wstęga, i podnosi posoch, znak swojej władzy, i mocno stuknąwszy stawia go znów na podłodze, i od razu zaczyna przemowę, wszystko idzie mu bardzo szybko: o szczęściu, pobłogosławieniu dziećmi i płótnem pościelowym, i urodzajem, i deszczem, a wreszcie przepija do wszystkich.

Priczkus! krzyczy Enskys do niego, machając nożem, którym przebija do dna drewnianej misy przed sobą schab, aż kapusta pryska dokoła. Priczkus! Tu jest *vakarelis*<sup>[2]</sup>.

Ach, ty *bildukas*, mówi Fritz – nazwał więc Enskysa skrzatem, po czym stwierdza, gdyż jego dostojeństwo jest jeszcze pełne siły: Tu się odbywa wesele.

I teraz powinni to wszyscy potwierdzić, także hałaśliwy Enskys, gaduła Bleberis, leń Doczys, który nazgarniawszy sobie po trosze wszystkiego, zajada w cichości ducha: Tak jest, wesele, i to jakie!

I jest jeszcze parę strofek do zaśpiewania, i muzyka chce grać dalej, nic nie pomaga: że Doczys krzyczy, a Enskys oburącz wybija rytm melodii na stole, ale cóż to za rytm? Gawehn głowi się nad tym, Poczka nie wie, jak go zanotować. Po prostu śpiewamy dalej, dziewczęta, nieprawdaz?

---

[2] Vakarelis (lit.) – kawalerski wieczór.

Priczkus tymczasem opowiada o innych weselach, u Salzburchyków, a więc po wsiach dalej na północ, gdzie nie zakwasza się kapusty w lipowych beczułkach, udeptując ją boso, czystymi nogami, lecz zakopuje się ją w ziemi, u Niemców, którzy zdejmują kaftany i tańczą bezwstydnie w samej koszuli, albo o strasznych potrawach ziemiaństwa: o długo wiszącej dziczyźnie, z której w kuchni po prostu wydrapuje się robaki, o śluzowatych stworach wodnych w płaskich, szerokich muszlach, o brudno czarniawych rybich jajeczkach, żabach, jelitach słonek, niedobrze się robi człowiekowi, kiedy to słyszy. Ale ja to widziałem na własne oczy.

Ktoś opowiada o wilku z ostro spiłowanymi zębami, który z pewnością wilkiem nie był. Zabiłem go, był martwy i martwy pozostał, ale to nie był wilk. Co prawda, nikt tu nie umarł w tym czasie ani nie znikł, więc musiał widocznie przyjść gdzieś z dalszych stron. To nie mogła być chyba babka Szturkanta.

Inny wychwala swoją klacz. Zwierzę, powiadam wam, z zadem jak u baby! Wsunął przy tym dolną szczękę, przez co utworzyło się parę pionowych zmarszczek od ust ku oczom oraz cieńsze na skroniach, jeżeli się przyjrzeć dokładniej. A Lyne rozwodzi się nad swoimi gęsiami, z których każda ma imię i o których mówi, jakby je wszyscy rozróżniali, tak jak ona.

Na to Priczkus, że starosta ochrzcił dobrą mleczną krowę Euterpe, z akcentem na pierwszej sylabie: Euterpe. I może to staje się hasłem do występu pastora, który jest człowiekiem oświeconym.

Wszedł pod ramię z Anną Reginą, z domu Ohlefant, z Gołdapi, szczipłej, nieco skwaszonej kobiecie o rzadkich włosach, z których niewiele wolno wysunąć się spod czarnego czepca.

Prowadzą ich na poczesne miejsce, większość obecnych wstaje, a Duonelaitis mówi: Ależ siadajcie, dzieci. I: Czyście się też ładnie pomodlili? A że nie uczynili tego, tedy on to zrobił, i Bleberis zamknie

na ten czas gębę. Unieruchomi tylko swe bystre spojrzenie, dokładnie między obu kątami oczu, skieruje je znieruchomiłe na pannę młodą, zamiast zamknąć oczy, jak inni. Tęczówka zdaje się wówczas zmniejszać i ciemnieć, całkiem okrągła i wyraźna kreśli się na żółtawobiałym białku oka, mając jakby główkę od szpilki pośrodku. Ale też jak niebiańsko pięknie wygląda panna młoda w swym śnieżnobiałym, ażurowym czepku i welonie, co spływa jej po ramionach aż do kolan.

O, czasy, czasy, wzdycha ni stąd, ni zowąd zakrystian Seligmann, i zaczyna opowieść o kwasowęglowym źródle w Thuren, które zbadał okręgowy fizyk Mehlkorn z Gąbina, zaprosiwszy do współpracy radcę Ehrenreicha tudzież medyka-aptekarza Bottchera.

Pan Mehlhorn pisał mi o tym, rzecze Duonelaitis, ma ono przewyższać zawartością kwasu selcerską wodę, zbliża się zawartością żelaza do pirmonickiego źródła i powinno być podobne do półczyńskiego.

W Thuren budują już domy dla kuracjuszków, mówi Seligmann, ludność Gąbina dziękuje Bogu na kolanach.

Co oznacza, jeżeli prawidłowo tłumaczyć sobie westchnienia Seligmanma: i my powinniśmy zacząć kopać na kościelnych gruntach, może też coś znajdziemy.

Ale tu Priczkus musi się wmieszać: Trzeba najpierw spytać pana zarządcę, bo będą kłopoty.

To znów woda na młyn starosty Ruhiga, myśli Duonelaitis: Kościelne grunta! I mówi: Masz słuszność, Fritz, nasz Seligmann to niespokojny duch.

Ale brzmi to smętnie, nastrajając do osłabienia i hipochondrii, które sobie przypisuje i z powodu których nosi się z myślą o budowie wdowiego domu dla Anny Reginy: Kiedy umrę, co się z nią stanie? Smętnie także ze względu na termometry, jakie by skonstruował, i inne aparaty, które byłyby konieczne, gdyby podobne źródło, może nawet gorące, było i tutaj.

A Selmyka i Katrina na drugim końcu izby też mają o czym pogadać: Że dzieciątko, które Pimma nosi pod sercem już szósty miesiąc, jest od narzeczonego, który siedzi tu, kędzierzawy jak młody byczek, ale ożenek, to znów inna sprawa.

Zatem posłuchajmy chyba lepiej muzyki, a może – jeszcze lepiej – hałasu tam, pode drzwiami.

To ten przekłety Slunkius, lizus i pieczeniarsz, który usiłuje zbierać wszędzie, gdzie nie posiał, i jego stryj, którego nazywają Peleda – pożeracz myszy, czyli: sowa. Patrzy człowiek, oczom nie wierząc: stoją w izbie, nieproszeni, i mówią swoje porzekadło:

*Gdzie tu są kucharki,  
Sprawdzimy im garnki.*

No, to chyba niestosowne. Ale i muzyka już zawtórowała, Prajkszas i Kurmys, obaj starzy, skrzypki i cytra. Więc dalej:

*Życzymy jej garnka dobrego  
A za rok – męża tęgiego.*

A to już jest całkiem niestosowne.

A na domiar głupkowata gadanina Peledy:

A tośmy, zdaje się, dobrze trafili, wszyscy tak zgodnie razem, aż się płakać chce, wszyscy wysmuknięci aż po gacie, w sam raz dla nas kompania.

Ach, Priczkus też tutaj! – woła Slunkius – maciora w chlewiku się cieszy!

Stul gębę, mówi Fritz.

Nie, i ksiądz proboszcz także! – wykrzykuje znów Slunkius. Ale tego już za wiele dla pana młodego, świekra i ojca pana młodego: Świętobliwy

człek, święty człowiek! Ledwie zdążył Duonelaitis chwycić za ramię Enskysa, który znów zaczął wymachiwać swoim wielkim nożem: Odłóż swój *didelis pejlis!*

Nie otwierałbyś lepiej pyska, świński ryju! – powiada ojciec panny młodej do Peledy. A ponieważ Slunkius zapewnia od razu: Ależ siedzimy cicho jak myszki! – przy czym Peleda drgnął, bo zdaje mu się, że to do niego pite, i dla uspokojenia drapie się za uchem, tedy pani domu powiada: Już tam dostaniecie. I wyprowadza obydwu. Tak to jest z tą litewską gościnnością, przy czym można by tu dodać, że jedzenie i picie nie ustawało przez ten czas, wraz z mowami i śpiewem.

Ale to przecież tylko wieś, która, chociaż opisana, pozostała martwa, miała być zaludniona: odpowiednimi ludźmi, a myśmy wciąż tkwili w jednej izbie. Wyjdźmy więc lepiej na chwilkę przed drzwi.

A ponieważ na dworze się już ściemniło, powiedzmy teraz o zaroślach po drugiej stronie drogi. Cicho tam jest, jaśminy otworzyły się szeroko i jaśniejają w tym powietrzu, w którym, rzekłbyś, coś cichutko, niedosłyszalnie zaczęło prosić: nie jak deszcz, tylko drobniuteńko, zupełnie rozpuszczone światło, które niegdyś było może białym metalem.

Ale to musiało być dawno.

A tutaj, skroś to poruszenie, po ciemku, nadchodzą znowu kroki, stąpanie nóg, zaskrzypiał szczebel.

Ruch, stłumione przekleństwo czy inny dźwięk, krok w pustkę, ciało spada ciężko z drabiny, myślałbyś zabrakło szczebla. Wtem zachwiało się troszeczkę owo drewniane rusztowanie. Drżenie przemknęło po masztach aż po samą górę.

Czy zdołamy rozpoznać wspinającego się? Teraz, kiedy już dociera do czwartej kondygnacji? Najpierw podnosi się głowa ponad deski, teraz podciąga się na ramionach. Okrągłe ramię. Jużeśmy je raz widzieli.

Wszystko znika, i nie ma światła, owego lotnego zmroku, spojrzenia



w dal, nad las i dwie rzeki. Domy, wieś, okna – wszystko zniknęło, ludzie zniknęli.

Tu jesteśmy. Gdzie to jest?

Nic więcej nie było słyhać: że Duonelaitis zaczął cicho mówić. O przesilonej już wiośnie, o powracającym lecie, z jego wielką pracą, o mocnym słońcu, które osadziło swe ogniste koło na najwyższym szczycie. A teraz będzie się staczać, zrazu powoli i z każdym dniem coraz szybciej.

*Patrzcie, drухowie, ten żar mógłby, zda się, zapalić  
luczywo!*

*Ale już więdnąc zaczęły wieńce tej ziemi – kwiaty,  
Głowy swe piękne chylą ku schnącym trawom,  
bylinom,*

*Ach, już tracą niektóre jaśniejące pysznie swe szaty,  
Smutnie stoją, skurczone  
Jak pomarszczona staruszka.*

Nie, nic więcej nie słyhać. Jedyne te ręce i stopy na drewnie, jedynie ledwo stłumione słowo. Stuk, wyczuwalny, lekkie drżenie rusztowania. Zamajaczyło jakieś ramię. Gdzie też je widzieliśmy przedtem?

I muzyka, skrzypce i cytra, których się przecież nie zapomni, zniknęły.

Odezwał się stary klawikord, łamliwie, jakby bez głosu. To jeszcze słyshymy: tony, akordy na nadszarpniętych strunach.

## ROZDZIAŁ IX

**G**łos, samotny, po lesie, wołanie: Poczka, Poczka! Głos w zupełnych ciemnościach.

Czy to ja? Czy mnie wołają? Gdzie jestem?

Ręce mam tu, na drewnie, na żerdzi, na jakiejś poręczy. Stoję na deskach, mówi o tym skrzypienie pod nogami. Spodem hula wiatr, to także słyszę. A nad wiatrem jestem ja, stoję wysoko: nad szumem, który nie jest wiatrem samym tylko.

Słyszać tam inny szum, cięższy, niżej, w wierzchołkach drzew.

A całkiem w dole – trzeci: lekki, szmerek, woda, która się porusza.

Być tak ponad potrójnym szumem – cóż to takiego? Bo tutaj, na samej górze, są przestworza bez powiewu, bez dźwięku.

Ponad powiewem, ponad szelestami, w bezruchu, w bezdźwięczności: gdzież to przebywam?

Ale słyszę głos na dole, spośród tych szumów, nie dość wysoko, jeszcze nie sięgający tutaj, ale już wyżej teraz. Wymawia moje imię. To mnie wzywa. Woła mnie.

Czy robi się jaśniej, tu, przed oczami? Widzę swoje ręce na balustradzie. Czy to prawda, że mogę widzieć, odkąd ten głos tu sięga? Wnosząc moje imię skroś szum ku górze?

Ale czy nie widziałem i przedtem? Przedtem – kiedyż to było?

Czy słyszę wołanie lepiej, kiedy się teraz pochylam? Czy miałbym je ściągnąć, tu, do siebie?

Ale czy nie słyszałem go i przedtem? Przedtem – kiedyż to było? Czy

dlatego jest tak niewyraźne, że ta cisza trwa, tutaj, na wysokościach? To znieruchomienie? Bezdźwięczność? Czy tylko ja jeden się poruszam?

Nadciąga ku mnie powiew. Ciepło niby wyziew za moimi plecami. Za mną jakiś ruch.

Stój, mówi głos. Tego głosu nie znam. Gdzie jesteś, głosie? Odpowiedz! Głos mówi dalej: Przybywam sam, tylko my tu jesteśmy: ty i ja.

Czy już nie słyszę innych głosów? Czy mam się głębiej wychylić? Czy nie słyszę teraz szumu ani wiatru, ani drzew, ani wody, nic?

Śmiech – jak warczenie: Kto nie wierzy, nie będzie zbawiony, kto nie wiele, nie będzie umęczony, kto nie wierzy nie będzie zbawiony, kto nie wiele nie będzie umęczony, raz po raz, wciąż to samo, tutaj, nad szumem, który zniknął, nad wiatrem, który zniknął, nad wodą, co płynęła gdzieś głęboko w dole.

Jeszcze raz wołanie w lesie, głos z mrocznej głębinie ku górze.

Słyszę cię, głosie.

Już cię nie słyszę.

Na moim ramieniu ręka. Która mnie odwraca. Oddech. Który pada na mnie, tchnie na mnie jak na szkło, jak na szybę: za tą szybą twarz, otwarte usta. Na szybie kładzie się mgła. Szarość, przed którą się cofam. Która się zbliża. Goni mnie.

Balustrada za moimi plecami. Zatrzymuje mnie ze skrzypieniem, już mnie nie zatrzymuje. Krok w pustkę.

Teraz świst. Zaczyna się w uszach, obraca mną: unosi mnie. Ale ręce już się spode mnie wyszarpaneły, już mnie nie niosą. Świst mnie teraz otula.

I jasność. Znak węzowy mknie przez powietrze. Idzie Giltina. Giltina żądli językiem.

Leć, mówi obcy głos, kto nie lata, nie będzie umęczony, nie będzie zbawiony, leć sobie ładnie. Została tam sama na górze.

I odwraca się. Wszystko zrobione. Anna Regina.

Twarz naga, siwe skronie, przedwczesna biel, blade wargi.

Zarządzono wszystko, co było trzeba.

Głos z kąta pokoju, jak powiew: Będzie lepiej, zaśnij. Tylko głos, nie ma ręki na białym czole, ani lekkiego głaskania, więc pewno się ten głos nie liczy.

Gdybym jeszcze mógł robić barometry.

Wąskie usta, raz jeszcze mówią i już się nie rozwierają. Skąd szedł ów głos? Jeszcze tylko rżenie w piersi, które już nie pragnie oddechu. To mówią już ręce: Anna Regina.

A przed oczami ostatni dzień: Czerwiec. Świętego Jana.

Trzeci klawikord był gotów. Konfratry z Mehlkehmen i Walterkehmen przybyli w odwiedziny z żonami. Brat Kempfer i brat Jordan, i ja zasiedliśmy do klawikordów. Były dobrze zestrojone, mój, ostatni, miał cokolwiek silniejszy ton.

Pedały, zawołałem. Wszystkie trzy były bezszmerowe, mechanika gładka jak przy klawiszach.

*W uczynkach i w potrzebie*

*Radzę się, Panie, Ciebie –*

Brat Kempfer grał temat zasadniczy z właściwym ożywieniem. Jordan – prosty, ciężki bas.

*Co wszystko wiesz i możesz,*

A kobiety śpiewały:

*Wszelakie zacne dzieło*

*Czyń zawsze w imię Boże –*

Przerwałem pierwszy. Przecież to za wysoko, Anno Regino! Nie chciałem tego mówić: obie kobiety, żony Jordana i Kempfera, także wzięły za wysoko, prawie o cały ton za wysoko.

Zaczynamy od nowa. Znow kobiety wzięły za wysoko. Tym razem od samego początku. Jordan przyjął to śmiechem: Czy w ogóle już nie zejdzicie z tych wyżyn?

Tym razem on pierwszy urwał.

Takeśmy siedzieli myśląc: Nie, tego nie zrobią nasze żony, nie zejda stamtąd niżej, to jest ich szczyt.

Kempfer zaproponował: No, to my zacznijmy. A Jordan zgodził się roześmiany: No, nastroimy wyżej, jak myślisz?

Cóż miałem powiedzieć? Że w ostatnich latach i tak strojenie bywało wyższe? Nowy smak, nowa moda.

I że już dosyć wysoko nastroiłem, właściwie o dobry ton wyżej niż dawniej?

Że przy budowie ramy powinienem się był z tym liczyć? Bo wyższe strojenie teraz – czy ramy zniosłyby napięcie?

Prawda, świerkowe drewno może dużo wytrzymać. Ale jeszcze wyżej? Przecież nie chcę, żeby mi rama popękała.

Tego, że najpiękniej brzmią klawikordy z lekka rozstrojone, zwłaszcza w górnych tonach, nie mogłem nikomu powiedzieć, tego by nikt nie zrozumiał. I sędzę: nie bez przyczyny.

Gdyby można to robić powoli? Naciągać leciuteńko. A potem zawsze parę dni odczekać. Aż się drzewo przyzwyczai.

Ale jeśli to robić, to już dzisiaj: Jutro nasi goście odjadą.

Anno Regino, powiedziałem. Zrób nam kawy.

Strojenie zostało poniechane. Śpiew na ten dzień także.

Anna Regina wstała z cierpkim rysem dokoła ust. Ale poszła.

To był ten ostatni dzień. Teraz tylko: Zaśnij.

Ale teraz, jednak, ręka przesuwana się lekko.

Poczka, mówi dziewczyna. Poczka, Poczka.

Ręka na jego czole. Teraz wracają mu kolory na twarz. Dziewczyna nie może tego dostrzec, tak jest blisko: nad jego oczami, nad jego ustami. Które chcą się rozewrzeć.

I nie mają słowa, które by je rozwarło.

Las zaczął szumieć. Szum schodzi coraz niżej, jak deszcz. Wznosi się chłód, rozchodzi się nad mchem. Poczka podnosi się. Dotyka trawy. Jest mokra.

Wciąż jeszcze ani słowa.

A wieża, gdzie jest wieża?

Poczka, mówi dziewczyna. Poczka, wróć! Tego, co było dawno, już nie ma.

Nie ma wieży. Poczka otwiera oczy. Nie ma wieży. Nie ma polany. Tylko szum krążący w koronach drzew.

Iść tam – już nie można. Nie można. Teraz mówi, powoli, ustami, (które uczą się mówić, głosem, który odnajdzie jeszcze swoje brzmienie, dzisiaj albo jutro:

Zwołać ich tutaj. Tutaj, gdzie jesteśmy.

## UWAGA AUTORA

Cytaty z „*Idylli*” Kristijonasa Duonelaitisa są wolną (przeróbką w wersji przekładu L. Paissarge (Halle, 1894).

Przytoczony w rozdziale V zarys życia zagrodnika Indry Budrusa zaczerpnięto z kroniki z r. 1912, pióra pisarza litewskiego dr. Wilhelma Storosta-Vydunasa, zmarłego w r. 1953, zasłużonego krzewiciela i opiekuna litewskiej kultury ludowej.

Wszystkie pozostałe osoby oraz akcja książki są fikcją literacką.

## O Autorze

Johannes Bobrowski (1917-1965), wybitny poeta i prozaik z NRD, znany już jest czytelnikom polskim dzięki przekładom powieści „*Młyn Lewina*” i tomu opowiadań „*Uczta myszy*”.

W „*Litewskich klawikordach*” Bobrowski rozwija ten sam, co w poprzednich utworach, pasjonujący go problem: stosunek Niemców do Europy wschodniej. Akcja powieści rozgrywa się w roku 1936 w okolicach Kłajpedy, gdzie współżyli wówczas obok siebie Litwini, Niemcy i Polacy.

Bohaterowie książki to para narzeczonych. Ich przeżycia są tworzywem pięknego i subtelnego wątku lirycznego, a jednocześnie pretekstem do retrospekcji historycznej i ukazania malowniczej postaci Kristijonasa Duonelaitisa, autentycznego litewskiego proboszcza i poety z XVIII wieku.





















































































































































































































































































































































































































































































































































































































































































































